

Wschód

KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



• **1812-2012**
Dwusetna rocznica urodzin
Józefa Ignacego Kraszewskiego



WYŻSZA SZKOŁA SPOŁECZNO-PRZYRODNICZA *im. Wincentego Pola* w Lublinie

STUDIA LICENCJACKIE I MAGISTERSKIE



FIZJOTERAPIA

TURYSTYKA I REKREACJA

WYCHOWANIE FIZYCZNE

KOSMETOLOGIA

PEDAGOGIKA SPECJALNA

FILOLOGIA IBERYJSKA

FILOLOGIA ANGIELSKA

ZDROWIE PUBLICZNE

STUDIA PODYPLOMOWE NA 19 KIERUNKACH

www.wssp.edu.pl

20-816 LUBLIN, UL. CHOINY 2, TEL./FAX (81) 740 72 40



Szanowni Czytelnicy

W 2012 obchodzimy dwusetną rocznicę urodzin wielkiego polskiego powieściopisarza Józefa Ignacego Kraszewskiego. Literat był tytanem pracy i wielkim intelektualistą swojej epoki. W czasach, gdy na mapach świata nie było Polski patriota J. I. Kraszewski nieustrudzenie obdarzał rodaków pisaniem słowem polskim. Kraszewski w sposób szczególny był związany ze wschodem, z terenami nadbużańskimi i dalej kresowymi. Wychowywał się w szlacheckim majątku rolnym w Romanowie, w ówczesnym powiecie włodawskim. Uczył się w Białej Podlaskiej i w Lublinie, wielokrotnie przebywał we Włodawie, a jadąc do swego majątku na Wołyniu czy do Żytomierza, gdzie pracował, zatrzymywał się w Chełmie. Stąd w niniejszym numerze zamiast wstępu zaprezentuję poniżej rys biograficzny, słowo o muzeum w Romanowie oraz wiersz poświęcony naszemu najbardziej płodnemu, narodowemu pisarzowi – Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu.

Życzę miłej lektury
Redaktor

SPIS TREŚCI:

1. Dwusetna rocznica urodzin 1812–2012 Józef Ignacy Kraszewski – 2
2. Savoir-vivre wczoraj, dziś i jutro – 5
3. Skowronki Lublina – 7
4. Anegdota na pięciolinii – 10
5. Z literaturą tą od wschodu ze „Wschodem”, chwila z poezją – 11
6. Stefan Darda kontynuuje swoją przygodę z „Czarnym Wygonem” – 13
7. Dzień Pszczelarza – 16
8. Ksiądz Jan Dolinowski - Duszpasterz, pszczelarz... – 16
9. Historia leksemu pszczoła – 18
10. W wigilię sześćsetlecia unii horodelskiej – 21
11. Stefan Sidoruk (1919 – 2012) – 22
12. Zwierzęta z „Polskiej czerwonej księgi” na Polesiu – 23
13. Rozmowa z Tomaszem Zygmuntem dyr. Instytutu Neofilologii – 24
14. Smaki Polesia – 26
15. Włodawskie w przededniu Powstania Styczniowego – 27
16. Legendy Różanieckie -pałacowe lochy – 29
17. Jak carski generał podlaskich chłopów klasowo uświadamiał – 30
18. Trzydniowa Majówka w kajaku na Polesiu Włodawskim – 32
19. Upalny Dzień – 34
20. Mistrz Ryszard Żuchowski w felietonie o Bon Tonie – 35
21. Z notatnika Nadbużańskiego aforyty i satyryka – 36
22. Miejsca pamięci w powiecie Radzyńskim – 37
23. Nadbużańska poezja Piotra Głogowskiego – 40

Z redakcją współpracują:

Agnieszka Gašior-Mazur - Prezes Lubelskiego Klubu Biznesu

Prof. Sławomir Partycki - KUL, Przewodn. Lub. Rady Towarzystw Regionalnych

Waldemar Michalski - Wiceprezes Związku Literatów Polskich w Lublinie, Sekretarz Redakcji „Akcentu”

Zbigniew Włodzimierz Fronczek - Prezes Związku Pisarzy Polskich w Lublinie, Redaktor Naczelny Dwumiesięcznika „Lublin Kultura Społeczeństwo”

Longin Jan Okoń - były Prezes Związku Literatów Polskich w Lublinie

Wschód

Kwartalnik Społeczno - Kulturalny

Wschód

Wydawca

Poleskie Towarzystwo Medialne



22–200 Włodawa
ul. Lubelska 56
tel.: (82) 57 21 353

REDAKCJA:

Redaktor naczelny

Aldon Dzieciół

Sekretarz redakcji

Renata Włostowska

Członkowie redakcji

Monika Durska

Joanna Szubstarska

Marta Ładak

Marta Grzeszczuk

Mieczysław Tokarski

Włodzimierz Czeżyk

Grafik

Jakub Dzieciół

Partner medialny:

Twoje Radio Włodawa

Adres redakcji

22–200 Włodawa

ul. Asnyka 20

Skrzynka poczty internetowej

ksk.wschod@gmail.com

tel.: (82) 57 21 954

Druk i skład

Drukarnia i Wydawnictwo

Akademickie Wyższej Szkoły

Społeczno-Przyrodniczej

im. Wincentego Pola w Lublinie

ul. J.Porazińskiej 3

20–448 Lublin

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Nie odsyłamy zamówionych materiałów. Zastrzegamy sobie prawo do redagowania i skrótów nadsyłanych tekstów.

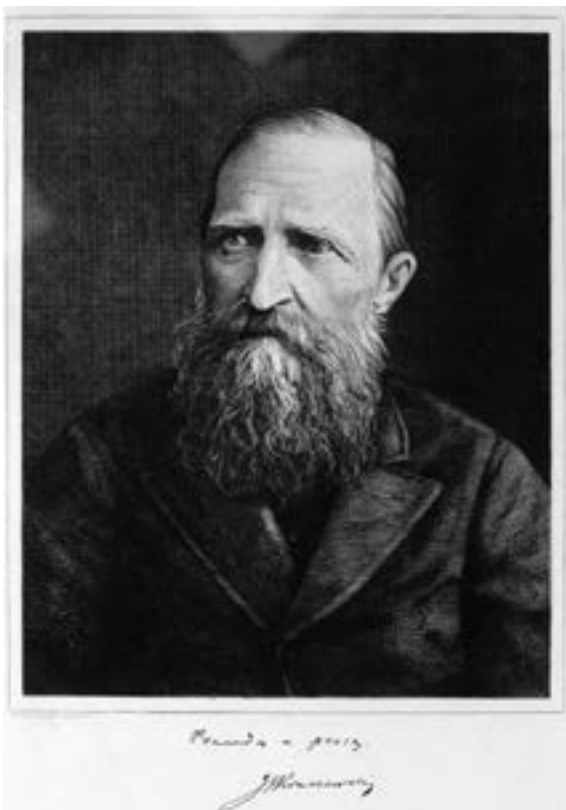
DWUSETNA ROCZNICA URODZIN: 1812–2012 Józef Ignacy Kraszewski

Szkic biografii

Józef Ignacy Kraszewski - pisarz, publicysta, wydawca, historyk, malarz, grafik, działacz społeczny i polityczny, tłumacz (w pięciu językach), najpłodniejszy autor w historii literatury polskiej. Posługiwał się wieloma pseudonimami literackimi: Bogdan Bolesławia, Dr Omega, Pasternak i inne. Urodził się w 1812 roku w Warszawie w ziemiańskiej rodzinie. Rodzice mieszkali na Grodzieńszczyźnie koło Prużan w swoim majątku Dołha. Rodzina pieczętowała się herbem Jastrzębiec. Mały Józef do 15 roku życia wychowywał się w Romanowie, niedaleko Włodawy, pod opieką babki Anny Malskiej i prababki Konstancji Nowomiejskiej. Wyniósł stamtąd pierwsze zainteresowania kulturą i literaturą; kształcił się w szkole wydziałowej w Białej Podlaskiej (1822–1826), w szkole wojewódzkiej w Lublinie (1827–1829), gdzie zdał egzamin dojrzałości. W 1829 podjął studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Wileńskiego, wkrótce przeniósł się na literaturę. W grudniu 1830 roku za działalność spiskowo-powstańczą wraz z grupą młodzieży został aresztowany. Pobył w więzieniu, potem w szpitalu więziennym trwał do marca 1832 roku. Kraszewski zadziwia ogromem swych prac i nazywany jest ojcem powieści polskiej. Napisał i wydał około sześćset tomów, nie licząc pracy redakcyjnej, mnóstwa artykułów w czasopiśmie i olbrzymiej korespondencji prywatnej. Wśród nadawców listów do pisarza są między innymi takie nazwiska jak: Cyprian Kamil Norwid, Henryk Sienkiewicz, Adam Asnyk, Eliza Orzeszkowa, Stanisław Moniuszko, Juliusz Kossak i wiele innych, po dziś znanych i cenionych sław polskiej kultury. Osobną grupę korespondentów stanowią dziennikarze. Wyliczono, że miał kontakty ze 144 redakcjami. Wszystkich utworów napisał około 400, natomiast najważniejszym działem twórczości Kraszewskiego są powieści. W ciągu 57 lat napisał ich 234, w tym 144 powieści społecznych, obyczajowych, ludowych i 88 historycznych.

Dla przypomnienia, jest autorem między innymi: Starej baśni - najpoczytniejszej jego książki, Ulany, Chaty za wsią, Hrabiny Cosel. Inne ciekawe książki to: Jaryna, Morituri, Panie kochanku. Anegdota dramatyczna w trzech aktach, Latarnia czarnoksiężska, obraz ówczesnego stanu arystokracji i szlachty, Powieść bez tytułu - jeden z najpiękniejszych utworów autora. Dzięki ogromnemu twórczemu dorobkowi stał się narodowym wychowawcą w pracy oświatowej, naukowej i społecznej.

Kraszewski przekładał z różnych języków, sam redagował i wydawał książki. Posiadał też temperament polityczny. Będąc rzecznikiem umiarkowanych idei liberalno-demokratycznych, prowadził działalność ukierunkowaną krytycznie do konserwatystów. Krytykował arystokrację za egoizm, częsty konformizm wobec zaborców i opowiadał się za uwłaszczeniem chłopów. Upomniany został na audyencji u papieża Piusa IX za niemoralną tendencję dzieł antycypujących program pozytywizmu. Po upadku powstania styczniowego polemizował i zwalczał w prasie europejskiej antypowstańciewą propagandę, inspirowaną przez carskie służby. Kraszewski podróżował po Polesiu, gdzie umiejscowił akcję malowniczej powieści o ludzkich namiętnościach, której bohaterką była piękna Polesianka, występująca już w tytule książki, Ułana. Dodam, że w pierwotnej wersji książka miała tytuł Polesianka, o czym pisze w swych szkicach historycznoliterackich pt. Kraszewski Stanisław Burkot. Pisarz znał i lubił Kresy, mieszkał na Wołyniu, potem pracował w Żytomierzu jako kurator szkół polskich, dyrektor Teatru Żytomierskiego. Był także dyrektorem Klubu Szlacheckiego i prezesem Towarzystwa Dobroczyńności. Podróżował do Kijowa, Odessy. Lubiał konie i jazdę konną. Będąc w Żytomierzu na urzędach, kupił własnego konia do przejażdżek. W 1860 roku pisarz wyjechał z Żytomierza i przeniósł się do Warszawy, gdzie został redaktorem naczelnym „Gazety Codziennej”. Kraszewski, prezentujący niezłomność szczerą, gorący patriotyzm, na pięćdziesięciolecie doczekał się we wszystkich trzech zaborach w wielu miastach z różnych środowisk narodowych, patriotycznych wielkiego uznania, hołdu, który zaświadczał, że był ideowym przywódcą w narodzie po upadku powstania styczniowego. Na głównych, kilkudniowych uroczystościach w Krakowie, które odbyły się w dniach 3–7 października 1879 roku, zakończonych balem w Sukiennicach, Kraszewski wygłosił wspaniałe przemówienie jubileu-



Henryk Redlich, 1879, Portret J.I. Kraszewskiego

szowe o miłości do ojczyzny, kulturze, historii i potrzebie pracy na rzecz narodu. Uroczystości były wielką manifestacją jedności narodu oraz siły polskiej kultury, jedynego w owych czasach bastionu broniącego niezawisłości polskiego ducha. Był on jednym z niewielu pisarzy polskich tamtego okresu, którego znano w wielu krajach, o którym pisano i ceniono w inteligenckich środowiskach całej Europy. Ponad setkę jego powieści przełożono na języki obce. Jako malarz, grafik malował widoki akwarelowe, rysował portrety. Prace artysty dziś zdobią między innymi: Muzeum Narodowe w Warszawie i Krakowie oraz w Poznaniu Muzeum Wielkopolskie. Był ponadto w grze na fortepianie wirtuozem-amatorem, kompozytorem, poważnym kolekcjonerem rycin, rysunków, medali i grafikami. W swej epoce uznawano go za wszechstronnego i wyjątkowego intelektualistę; był admiirowany, szanowany i nazywany człowiekiem-institucją. Kraszewski miał dystans do tego wszystkiego. Świadomy swej popularności oraz swych talentów z pokorą, szczerze o sobie tak pisał: *"Ja nie jestem pono ani literatem, ani artystą, choć piszę wiele i kocham wszelkie piękno - ja jestem człowiekiem mojego wieku, dzieckiem narodu mego"*.

W roku 1883 został aresztowany w Berlinie pod zarzutem pracy wywiadowczej przeciw Prusom

na korzyść Francji. Po procesie w Lipsku został skazany na trzy i pół roku twierdzy w Magdeburgu. Wskutek choroby płuc w roku 1885 został wypuszczony za wysoką kaucją. Opuścił więzienie i wyjechał na kurację za granicą, z której mimo żądań władz niemieckich nie powrócił. W Dreźnie w willi Nordstrasse 28, gdzie pisarz mieszkał w latach 1873–1879, mieści się Muzeum Józefa Ignacego Kraszewskiego. Ostatnie lata życia spędził we Włoszech i Szwajcarii. Za granicą współorganizował po upadku powstania styczniowego (1863–1864) pomoc dla emigrujących powstańców.

Zmarł 19 marca 1887 roku w Genewie. Pochowany został w grobach zasłużonych na Skałce w Krakowie. Ma pomniki w Krynicy i Białej Podlaskiej, tablice pamiątkowe m.in. w warszawskim kościele Świętego Krzyża, w Dreźnie i Wenecji. Na Litwie w Wilnie Polska Średnia Szkoła nosi jego imię.

Muzeum J. Ignacego Kraszewskiego w Romanowie

W 150 rocznicę urodzin pisarza w Romanowie 28 lipca 1962 roku otworzono muzeum Józefa Ignacego Kraszewskiego. W czasie II wojny światowej oddział partyzantów podpalił dwór, by uniemożliwić ulokowanie w nim hitlerowskiego posterunku. Losy niszczonego przez lata zabytku odmieniła uchwała Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie z dnia 23 grudnia 1958 roku o odbudowie dworu i utworzeniu muzeum. Dawniej (w XVI wieku) stał tu mały zamek myśliwski, a hetman polny litewski Roman Sanguszko był właścicielem okolicznych dóbr; potem właścicielami kolejno władali Leszczyńscy i Sapiehowie. Posiadłość, która liczyła sobie 2 500 hektarów, od Sapiehów odkupili dziadkowie pisarza - Anna i Błażej Malscy. Ich wnuk Józef Kraszewski wychowywał się u nich do piętnastego roku życia. W czasach, gdy mały Józio biegał po dworskich obejściach, nieopodal dworu z jednej strony stały drewniane oficyny, a z drugiej znajdowały się stajnie. Wokół, przy starych olchach nad kanałami, liczne gniazda założyły bociany. Po dziś Romanów to piękny wizerunek minionego szlacheckiego świata. Rodzina Kraszewskiego zarządzała majątkiem romanowskim przez 138 lat. Ostatni spadkobiercy wyjechali tuż przed wybuchem II wojny światowej,

w czerwcu 1939 roku. Aktualnie w muzeum znajduje się stała ekspozycja - Życie i twórczość Józefa Ignacego Kraszewskiego. W poszczególnych salach i salach możemy obejrzeć pamiątki po pisarzu i rodzinie. Przy wjeździe zachowały się wieżyczki bramy wjazdowej. Jest także na skraju parku kaplica pod wezwaniem św. Anny, która została ufundowana przez babkę Annę Malską. Park zachował swój dawny wygląd z alejami, przy których dumnie królują sędziwe świerki i graby. Przy głównej alei znajduje się dość oryginalny pomnik pisarza - obrazuje siedzącą postać na ławeczce. Muzeum organizuje rocznice, konferencje, konkursy i różne okazjonalne spotkania i wystawy czasowe. Celem wszystkich imprez jest pogłębianie wiedzy o pisarzu, jego twórczości i czasach, w których żył.

Aldon Dzięcioł

DWÓR W ROMANOWIE

Wschodnich ziemiańskich siedzib chluba,
Z tego gniazda jak uczy. Rota:
nie rzucim ziemi.... tu rósł
tamtych czasów tytan i patriota.
W Romanowskim folwarku
poznawał smak liter,
obrzędów, dobroci, chleba
i tu beztrosko, po polach biegał.
Ojcem powieści polskiej zwany,
zawsze olchy, jodły, bociany
nazywał tymi z Romanowa
co tak skrzętnie, do głębi
żywo, w duszy pielęgnował.
Z wczesnych lat wspomnienie
jak nie gasnące płomienie!
Jak szkatuły odchylone wieko,
dawały mu ciepło, blask
gdy był od bliskich daleko.
A gdy w młodzieńczej piersi
romantyczną myśl zapalił!
Jak rozerwać kajdany,
ucisk, jarzmo Moskali?!
W listopadowy zryw nie bacząc
na więzienie, prześladowanie
był z Ojczyzną i z tymi,
gdzie walka, gdzie powstanie.

Pisanie, swe sprawy człowiecze
odsunął, poświęcił i oddał się
pod patriotyzmu, ideałów pieczę!
Dwór z gankiem, okolice
park i świerki niebotyczne
pamiętają, przywołują, słyszą
pisarza, historyka i malarza
wieczorną czy poranną ciszą.
Duma to wielka, że tu
twórcy „Starej baśni”
dziecinne wspomnienie
i tu jego rodzinne korzenie.
Radości swe snuł w grabowej alei
i patrzył na soczyste liście.
Kłęczał w dworskiej kaplicy,
gdzie marzenia dziecka
promienne, czyste, złociste.
Beztrosko małemu Józiewi
mijały tu lata,
nim wyruszył w podróż,
by się uczyć świata.
Poznawał muzykę,
malarstwa oblicze
odkrywał historii
i archeologii tajemnice.
W Romanowie mu babcia
czytała ojczyźniane słowo,
polskie, nasze treści,
które jego młody umysł
chłonał, ubogacał, pieścił.
Dziś tu muzeum
i z upływem wieków,
rodzi gorętszą potrzebę pamięci,
o wielkim Słowianinie-Polaku,
o szlachetnym człowieku.
Po Kraszewskim
stare pamiątki, mury;
to cudowne, autentyczne,
polskie miejsce kultury.
Wielkiego polskiego piewcy ślady!
Godne niejednej narodowej ballady!
To miejsce naszej historii,
gdzie gorycz bitwy,
sumienne modlitwy
i też laurów księgi.
Duchowo tu pobądź
i po nie sięgnij !

Aldon Dzięcioł

Savoir-vivre wczoraj, dziś i jutro

Zapewne każdy wie, co kryje się pod pojęciem savoir-vivre. Istnieje przecież mnóstwo synonimów takich, jak: dobre wychowanie, reguły grzeczności, dobre maniery, kultura osobista czy bon ton. W istocie owo francuskojęzyczne pojęcie można by przetłumaczyć jako sztukę czy też wiedzę dotyczącą życia. Człowiek jako istota społeczna powinien wiedzieć, w jaki sposób tworzyć dobre relacje z innymi, a co istotniejsze, stosować je w praktyce. Savoir-vivre, będący wykładnią reguł dotyczących umiejętności odpowiedniego zachowania się w określonych okolicznościach i sytuacjach życiowych, pomaga wszystkim tym, którym na sercu leży dobre samopoczucie swoje i innych.

Pisząc o zasadach grzeczności, na myśl przychodzi refleksja, że jest to właściwie nauka, której w większości uczymy się w praktyce, a nie w teorii. Jakże często tłumaczymy nasze zachowanie wychowaniem wyniesionym z domu lub nieco rzadziej ze szkoły. Przecież bycia uprzejmym nie uczymy się z podręczników, nie wkuwamy na pamięć definicji związanych z powitaniem. Raczej podpatrujemy, w jaki sposób zachowują się nasi rodzice, rodzina czy znajomi. Zwyczajnie wiemy lub nie wiemy, jak postępować, bez głębszego dociekania źródła owej wiedzy przekazywanej z pokolenia na pokolenie.

Co więcej, savoir-vivre zdaje się być nauką pozornie skodyfikowaną, a w istocie ulegającą wielu zmianom, dopasowującą się, czy też tworzącą nowe reguły zachowania na potrzeby nowych sytuacji i wyzwań. Jakże często zachowanie młodych ludzi nie odbiegające od normy dziwią albo nawet gorszą starsze pokolenie. Słowa „zasady” czy „reguły” jednoznacznie wskazują na ich stałość i niezmiennosć, więc w jaki sposób zachowanie dobrych manier może podlegać przemianom? I tu nasuwa się porównanie z językiem, który jako system znaków ujętych w reguły gramatyki i składni, nie zmienia się od wieków. Rozbiór logiczny zdania z poezji



Szkic - Piotr Głogowski

Jana Kochanowskiego i zdania z prozy współczesnej pisarki młodego pokolenia przeprowadzimy tak samo. Jednak patrząc na semantykę i sposób konstruowania wypowiedzi oczywistym jest, że obcujemy z dwoma odległymi epokami. Wniosek nasuwa się prosty, pod wpływem czasu zmienia się forma, nie zmienia się treść. Podobnie rzecz ma się w przypadku dobrych manier, które można porównać do języka, dzięki któremu porozumiewamy się z otoczeniem w sposób niewerbalny. Komunikujemy więc naszemu rozmówcy, czy go szanujemy, czy jesteśmy zadbani, czy konwenanse nas obchodzą czy nie, jednym słowem nieświadomie przekazujemy o sobie więcej niż byśmy chcieli. Kto języka savoir-vivre'u nie zna wcale lub niedostatecznie, naraża się na nieporozumienia, jak to w przypadku nieznaności języka obcego bywa.

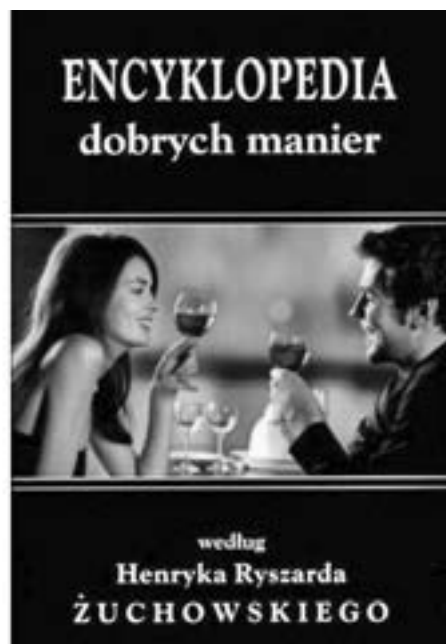
Trudno nauczyć, jak być dobrym, łatwiej jak dobrze się zaprezentować, jak dobrze się przywitać, jak dobrze traktować gości czy jak dobrze wyrażać się o innych. Starając się być dobrymi w rzeczach małych, kształtujemy więc nie tylko siebie, ale stajemy się częścią obrazu współczesnej kultury. Pozornie błahe „dziękuję” nie musi być tylko wyrazem grzeczności, a może stać się wyrazem życzliwości, serdeczności, tolerancji, która falę tych samych uczuć wzbudzi u kolejnych osób. Zараżajmy się więc bakcyłem dobrych manier, będąc świadomymi, że niektórzy uczą się ich od nas.

Literatura z zakresu bon tonu pojawiła się już u starożytnych ok. 2500 lat p.n.e. w postaci kodeksu

dotyczącego m.in. udzielania rad urzędnikom egipskim, jak mają zachowywać się na dworze. Podręczniki etykiety powstawały około XII wieku, a w wieku XVI Erazm z Rotterdamu w swoim dziele „De civilitate morum puerilium” następującej porady udzielał biesiadującym przy stole: „Nie oblizuj palców ani nie wycieraj ich w ubranie, bo to nie przystoi. Wytrzyj palce w obrus lub serwetkę.” Z polskich poradników należy wymienić: „O zachowaniu się przy stole” Przeclawa Słoty z XV wieku, Baldassare Castiglione w renesansowym traktacie „Dworzanin”, sparafrazowanym i dostosowanym do warunków polskich przez Łukasza Górnickiego, pokazuje idealnego przedstawiciela dworu, który charakteryzuje się przestrzeganiem określonych manier. Z XIX wieku pochodzą wydane w Krakowie „Zwyczajne towarzyskie (Le savoir-vivre) w ważniejszych okolicznościach życia przyjęte według dzieł francuskich spisane” autorstwa Alqui de Rieuepeyroux Louise. Współczesny polski czytelnik może zasięgnąć porady w książkach znanego eksperta i znawcy zasad savoir-vivre'u Stanisława Krajskiego. Historia literatury z zakresu dobrych manier obfituje więc w wiele tytułów, począwszy od ślubu, a skończywszy na etykiecie w biznesie.

Jak wybrać coś dla siebie spośród tak szerokiej oferty rynkowej? Kierując się przyjemnością płynącą z czytania oraz nienachalnym pouczeniem wynikającym z treści, warto sięgnąć po książki Henryka Ryszarda Żuchowskiego. Obowiązkową lekturą dla pań będzie więc „Savoir-vivre dla Pani”, zaś dla panów „Savoir vivre dla Pana”, a dla wszystkich „Encyklopedia dobrych manier”. Ale to nie koniec listy książek wykładowcy etykiety. Zainteresowani mogą więc sięgnąć po „Czarną księgę gaf towarzyskich”, „Całą dobę w dobrym tonie”, „O bon tonie w felietonie” oraz „Savoir-vivre wczoraj, dziś i jutro”. Tytuł ostatniej pozycji posłużył jako tytuł artykułu, bowiem najtrafniej definiuje istotność znajomości zasad dobrego wychowania w każdym czasie.

W „Czarnej księdze gaf towarzyskich” będącej zbiorem krótkich sytuacji, dla których pretekstem jest opis niezręczności podzielonych przez autora na gafy różnego typu, np. urzędnicze, słowne, ubraniowe czy też popełnione w nieświadomości, spotykamy się z następującym wzbudzającym niegdyś grozę, a dziś uśmiech, opisem niefortunnego przeżyczenia: Zaraz po wojnie opowiadano o niebezpiecznej gafie, która podobno przydarzyła się delegacji pisarzy polskich w czasie wizyty



u Józefa Stalina. Jedna z pisarek zamiast krzyknąć „Niech żyje towarzysz Józef Stalin!”, huknęła na całe gardło: „Niech żyje towarzysz Józef Piłsudski!” Kiedy dotarło do niej to, co się zdarzyło, zemdląła. I to ją widocznie uratowało, bo widywałem ją wiele lat później, kiedy dożywała sędziwego wieku w zdrowiu i na wolności. A Stalin, jak głosi anegdota, tylko jej pogroził.

W książce „O bon tonie w felietonie” autor koncentruje się na opisanu sytuacji związanych z zachowaniem się przy stole, na ulicy, w podróży. Sugeruje jaki strój jest odpowiedni w czasie różnych okazji, jak odpowiednio zaprezentować się w czasie mniejszych i większych „wyjść”. Daje kilka rad dotyczących podstaw dobrych manier, przypomina o gestach i słowach życzliwości, dobrym obyczaju obdarowywania się, a także o tym, jak prowadzić konwersację. Na końcu książki umieszcza sto pytań i sto krótkich odpowiedzi dotyczących równie ważnych kwestii, których nie zdążył poruszyć w felietonach regularnie publikowanych przed wersją książkową na łamach „Kuriera Lubelskiego”. Dodatkową atrakcją i ozdobą zbioru felietonów o codziennych sytuacjach są satyryczne rysunki Małgorzaty Gnyś-Wysockiej, doskonale wpisujące się w klimat humorystycznie potraktowanych historyjek. W kilku opisach autor podaje genezę powstania danego obyczaju lub konkretnego zachowania, na przykład informując czytelnika, że przesąd dotyczący niepodawania ręki przez próg wziął się z czasów bezkrólewia, gdy witanie się w taki sposób z nieznanymi, w tym często z grasującymi rabusiami, mogło skończyć się wyciągnię-

ciem gospodarza z domu i śmiertelnym pobiciem. „Słownik savoir vivre'u dla Pani” oraz „Słownik savoir vivre'u dla Pana” to dwie oddzielne propozycje dla kobiet i mężczyzn, które w hasłowej formie krótkich opisów wyjaśniają, jak należy postępować w określonych sytuacjach. Panie znajdą więc porady z zakresu przyjmowania i prawienia komplementów, noszenia biżuterii, przygotowania obiadu, składania wizyty mężczyźnie, bycia elegancką, reagowania na plotki, przyjmowania i obdarowywania kwiatami, czy siadania, wstawania i chodzenia. Okazuje się, że trzy ostatnie aktywności nie są wcale czynnościami tak pospolitymi jakby się mogło wydawać. Dobrze wychowany mężczyzna rozpozna elegancką kobietę właśnie dzięki owym umiejętnościom. Ci, którzy sięgną po wersję słownika dla panów, dowiedzą się m.in. w jaki sposób dawać napiwki, jak się oświadczyć, jak prosić kobietę do tańca, jak powinien zachowywać się kierowca i czym jest takt. Przeczytają również o pożyczaniu pieniędzy, zachowaniu w restauracji oraz o umiejętności opowiadania dowcipów. Ciekawostkę stanowią zamieszczone przez autora fragmenty historyczne dotyczące niektórych obyczajów. Na przykład z hasła o kwiatach dowiemy się, że ich barwa i gatunek miały jeszcze niedawno swoje znaczenie. Jak pięknie pisze autor „istniała kiedyś dzisiaj już zapomniana mowa kwiatów”, dlatego mężczyzna wręczający kobiecie białe narcyzy chciał przez to skomplementować jej urodę, zaś dający bratki wyrażał uczucie przyjaźni.

Umiejętność odnalezienia się w każdej sytuacji jest rzeczą bardzo trudną, a duża liczba poradników pomagających osiągnąć sztukę dobrych manier świadczy o zapotrzebowaniu na tego typu wiedzę. W końcu niezręczności, gafy czy nieodpowiednie zachowanie zdarzają się każdemu bez wyjątku, nawet głowie państwa, o czym często donoszą serwisy informacyjne. Grunt, żeby nieodpowiednie postępowanie nie weszło w nawyk i nie było umyślnie stosowane. Warto więc sięgnąć po fachową literaturę, aby dokształcić się w zakresie czekającej nas nowej towarzyskiej sytuacji lub dowiedzieć się więcej o historii dobrego obyczaju. Nie ze wszystkimi opiniami autora, zwłaszcza tymi dotyczącymi wyglądu i zachowania kobiet, mogę się zgodzić, ale jako dobrze wychowanej kobiecie, nie wypada mi powiedzieć z którymi. Myślę, że będzie to również zachęta dla czytelniczek do sięgnięcia po lekturę, a przy okazji skorygowania stanu swojej wiedzy na temat savoir-vivre'u.

Kindersztuba to podstawa, ale branie wszelkiej

niezręczności śmiertelnie poważnie nie przynosi dobrych efektów. Skuteczna więc wydaje się propozycja Żuchowskiego, aby wykład z etykiety przedstawić nieco humorystycznie. Ogromna wiedza z zakresu zasad savoir-vivre'u ukazana w atrakcyjnej formie anegdoty to główna zaleta tej literatury, dlatego gafę popełni ten, kto mając dostęp do książek Żuchowskiego, nie przeczyta choćby jednej.

Cytaty pochodzą z książek:

1. Henryk Ryszard Żuchowski, *Słownik savoir-vivre'u dla Pani*, Lublin 1995.
2. Henryk Ryszard Żuchowski, *O bon tonie w felietonie*, Lublin 1999.
3. Henryk Ryszard Żuchowski, *Czarna księga gaf towarzyskich*, Lublin 2001.

Monika Durska

SKOWRONKI LUBLINA

Było ich wiele – ponad pięćdziesiąt śpiewaczek, które przewinęły się przez scenę Teatru Muzycznego w Lublinie w ciągu ponad sześćdziesięciu lat. Jedne „przylatywały” do Lublina na sezon, inne na dwa, a były takie, które na dłużej albo i na zawsze wiązały swój artystyczny los z Kozim Rodem. Po latach miłośnicy kobiecego śpiewu pamiętają ich głosy, ale często zapominają w jakich okolicznościach ulegali czarowi pięknych fraz, wysokich dźwięków i w jakich to było scenicznych okolicznościach. A przecież miały one swoich wielbicieli zasiadających każdego wieczoru na widowni. Gdyby podliczyć wszystkie przedstawienia – zebrałoby się tych entuzjastów kobiecych treli kilkadziesiąt tysięcy. Tym właśnie świadomym miłośnikom lekkiej muzyki zapelniających kiedyś każdego wieczoru sale Domu Żłnierza, Domu Kolejara i gmachu w budowie poświęcam cykl felietonów, które powinny przypomnieć starszemu pokoleniu większe i mniejsze gwiazdy tamtych lat. Wiele z nich znałem osobiście jako reżyser,

wiele oglądałem z widowni jako widz i z wieloma występowałem na scenie jako kolega – partner. I chociaż nie wszystkie zasługują na miano „skowronka” to chciałbym, żeby jako takie pozostały w naszej pamięci.

Skowronek w Skowronku

(Krystyna Jarmułówna–Josicz)

Kiedy zbierałem się do pisania tej książki przypomniałem sobie, że tytuł „skowronka” należy się w pierwszym rzędzie – Krystynie Jarmułównie, bo w tym mieście zagrała tytułową rolę w operetce Franciszka Lehara – „Tam, gdzie skowronek śpiewa”. To był jedyny przypadek, kiedy udałem się do dyrektora Andrzeja Chmielarczyka po to, żeby mu „podrzucić” tytuł sztuki i namówić do jej wystawienia. Argumentowałem, że libretto oparte jest na świetnej sztuce dramatycznej pod tytułem „Miasto i wieś” i można ją grać nawet bez muzyki, bo tak jest świetnie napisana, a najważniejsze, że ma śpiewaczkę idealnie stworzoną do głównej roli. Co ciekawe, szef nie pytał kogo mam na myśli i bez dyskusji kupił mój pomysł. Decyzja dyrekcji, to był strzał w dziesiątkę. Operetka grana była 135 razy przy nadkompletach i zmieściła się w pierwszej piętnastce najbardziej popularnych pozycji w historii Lubelskiego Teatru Muzycznego.

To było jej przedstawienie. Zagrała i zaśpiewała prawie wszystkie spektakle, czarując publiczność nie tylko przepięknym, lirycznym sopranem, ale i sztuką aktorską, co nawet w najlepszych operetkach bywa sztuką nieosiągalną. Wieść, że w Teatrze Muzycznym można posłuchać skowronkowych treli i zapłakać nad dolą wiejskiej dziewczyny rozeszła się po mieście i widzowie chodzili „na Jarmułową”, zapominając podczas oglądania przedstawienia, że to co się dzieje na scenie jest tylko grą.

Do operetki widz idzie po to, żeby się zabawić i pośmiać, a jeśli artyści operetkowi potrafią jeszcze wzruszyć publiczność do łez, to można powiedzieć, że w przedstawieniu osiągnięto pełny sukces. Taka rzecz udała się w „Skowronku” Krystynie Jarmułównie. Były tam sceny, na których z widowni słuchać było „chlipanie” co bardziej wrażliwych widzów. Podobnie zdarzyło się i w innych sztukach. Natomiast w operetce „Skowronek”, w której grała dziewczynę ze wsi i w musicalu „Pani Walewska”, gdzie była arystokratką, w jednym i w drugim przypadku skute-

cznie potrafiła zmuszać widownię do płaczu.

Jarmułówna w pierwszym rzędzie była aktorką, a dopiero później śpiewaczką. Powinna grać dalej w dramacie, co byłoby szkodą dla operetki, ale poświęcając się sztuce, słowa miałyby większe szanse na zaprezentowanie swojego dramatycznego talentu.

Urodziła się w rodzinie teatralnej. Ojciec był pracownikiem teatru i dziewczynka często odwiedzała kulisy. I to musiało zadziałać. Ta instytucja pochłania całą wyobraźnię i kto zderzy się z magią teatru, ulega jej na całe życie. Dzieci aktorów i pracowników teatru grywają w przedstawieniach i na ogół wykazują nieprzeciętne zdolności aktorskie. Więc już w dzieciństwie rodzi się w dziecku przekonanie, że w przyszłości pozostaje alternatywa – poświęcić się sztuce. I tak też się stało. Prawie podlotka zaangażowano do Teatru Dramatycznego w Szczecinie, gdzie z miejsca zdobyła serca tamtejszej widowni. Aż trudno uwierzyć, ale doświadczenie w dziedzinie dramatu przyszłej divy operetkowej jest bardzo duże. W Teatrze Dramatycznym została obsadzona w ponad dwudziestu spektaklach, grając z dużym powodzeniem Klarę w „Zemście” Fredry, Małgośkę w „Czy to jest miłość” - Bystrzyckiej i Korynnę w „Mężu uciśnionym” - Ułaszyńskiego. Nic więc dziwnego, że po świetnym występie w „Karmie z Piosenkami” - Schillera zaproszono ją na gościnne występy do szczecińskiego teatru muzycznego. Tam w „Romansie pani Majstrowej”, a szczególnie w „Księżniczce Czardasza” objawił się jej talent muzyczno-taneczny. Młodziutka, filigranowa, o proporcjonalnej budowie, z wdziękiem podlotka, z uroczą dezynwolturą była stworzona do ról, jakie proponuje operetka i musical. Nic więc dziwnego, że długo nie trwało a Jarmułównę porywa kolejna dyrekcja i przyszła gwiazda lekkiej muzyki zjawia się na scenie Łódzkiego Teatru Muzycznego. Argumentem, żeby opuścić dom rodzinny było to, że mieści się tutaj nad rzeką Łódką Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna, a w niej uczy primadonna oper polskich - Olga Olgina. Po pierwszym przesłuchaniu Jarmułówna z miejsca staje się jej uczennicą, a efekty nauki nie dają na siebie długo czekać. Jej głos czyni kolosalne postępy, co powoduje, że w tym zespole pełnym od operetkowych gwiazd Jarmułówna wywalcza sobie czołowe miejsce. Przez wszystkie sezony nie schodzi ze sceny, grając z wielkim powodzeniem role napisane jak gdyby dla niej. Publiczność jest zachwycona, kiedy ogląda ją w roli skośnookiej MI w „Krainie uśmiechu” -

Lehera, czy Pepi w „Wiedeńskiej krwi” Straussa. Jej rekord na scenie łódzkiej jest imponujący. W ciągu jedenastu sezonów zagrała prawie trzydzieści żeńskich ról. Popularność dopełniają występy w telewizyjnych programach rozrywkowych i koncertach radiowych.

Artystka była w apogeum swojego rozwoju i popularności, kiedy do Łodzi zawitał „Chłopak z Lublina”, znakomity artysta, Marian Josicz, wypożyczony do misicalu „Kariera Nikodema Dyzmy”, odnosząc w tej sztuce sukcesy na scenach Lublina i Gdańska. Doceniając jej talent, zaczął przekonywać śpiewaczkę, że jej miejsce jest w Lublinie, a nie w Łodzi. A ponieważ swoje argumenty poparł oświadczeniami i ślubem, więc w sezonie 1974/1975 znalazła się Krystyna Jarmułówna w Kozim Grodzie, któremu wierna jest do dzisiaj.

Zanim jeszcze podniosła się kurtyna w „Hrabim Luxemburgu” Lehara i publiczność mogła na własne oczy i uszy ocenić nowy nabytek sceny lubelskiej po mieście krążyły wieści, że teatr miał szczęście zaangażować wybitną artystkę, na którą „będzie się chodzić”. Tę opinię ugruntował jeszcze dyrektor Andrzej Chmielarczyk, który jeszcze w czasie prób mawiał, że „Jarmułówna jest warta wszystkich pieniędzy”. Już pierwsze sceny operetki Lehara potwierdziły tę opinię. Premierowa publiczność usłyszała śpiewaczkę o pięknym lirycznym sopranie wyrównanym w całej skali oraz z wdziękiem i swobodnie poruszającą się po scenie artystkę. Ale najwালniejsza zaletą daną aktorom od Boga jest prawda sceniczna, z jaką potrafiła przekazywać tekst. Te czasami koszmarnie zadania i głupawe dialogi w wykonaniu Jarmułówny nabierały naturalności i przekonywały. W jej interpretacji słowny kicz zamieniał się w sztukę.

Niecodziennie oceniała ją również prasa. W „Kurierze Lubelskim” Ludwik Gawroński przekazywał swoim widzom swoje wrażenia: „Rewelacją w premierowej obsadzie okazała się Krystyna Jarmułówna-Josicz jako Julia Vermont. Aktorka o wybitnej kulturze muzycznej i aktorskiej, posiadająca doskonałe poczucie konstrukcji roli. Dobiera ona odpowiednie środki wykonawcze w zależności od sytuacji scenicznej, jest kapitalna w sposobie operowania głosem oraz wyróżnia się odpowiednią dynamiką w prowadzeniu dialogów”.

Jarmułówna na scenie lubelskiej nie pobiła rekordu długości występów. To zaledwie piętnaście lat grania, ale w jakim stylu! Po Julii Vermont



fot. ze zbiorów Teatru Muzycznego w Lublinie

w „Hrabim Lu-ksemburgu” zagrała brawurowo główną bohaterkę w „Nitouche”. W tej sztuce przekonaliśmy się, że świetna z niej aktorka charakterystyczna. Salwy śmiechu w trzecim akcie, kiedy przebrana za żołnierza, ucieka przed swoim wujem Majorem, odzywały się za każdym jej pojawieniem się na scenie.

Mówi się w teatrze, że klasę aktora poznaje się po zagrania przez niego drugiej roli. Tę „przeszkodę”, jak i następne wzięła Jarmułówna brawurowo. Nawet skąpa w pochwały (jeśli chodzi o artystki) krytyk Wiera Korneluk tak oceniła jej występ: „(...) ale nie jesteśmy stratni zważywszy, że w roli „Nitouche” występuje Krystyna Jarmułówna-Josicz, aktorka o dużym talencie, bardzo dobrej aparycji i komediowym esprit. Wymarzona Nitouche.”

Spis znakomicie zagranych i zaśpiewanych przez nią ról jest długi, bo zebrało się ich na lubelskiej scenie aż piętnaście. Publiczność przez kolejne lata entuzjastycznie oklaskiwała Jarmułównę w „Wielkiej Alei Tomaszewskiego”, w „Krysi leśniczance” - Jarno w „Rozwódce” Leo Falla, w „Kim jest Georgette”



K Jarmułówna-Josicz 1978r.

Fot. z archiwum Teatru Muzycznego w Lublinie

Hofstettera, w „Pani Walewskiej” Kiesewettera, w „Dzwonach z Corneville” Planquetta, „Błękitnym Zamku” Czubatego, w „Balu w Savoyu” Abrahama czy w „Księżniczce Czardasza” Kalmana. W wymienionych powyżej przedstawieniach grała główne role.

W tym zestawie o kreację otarła się w „Krysi leśniczance”, „Błękitnym zamku” i w „Pani Walewskiej”. Te ostatnią rolę – jak wyznała w jednym z licznych wywiadów - „chciałaby zagrać w życiu, gdyby znalazła się w tamtej epoce”.

Jednak na swój jubileusz wybrała najbardziej klasyczną z klasycznych operetek: „Księżniczkę Czardasza” Kalmana w reżyserii Beatz Artemskiej. Kto oglądał ten spektakl, musiał być podobnie zachwycony grą Jarmułówny jak opisujący to przedstawienie Ludwik Gawroński: „(...) jej głos zachwyca ciepłem i świeżością, brzmi pięknie w pianie oraz w forte, w kantylenie i par lando. Jej gra to popis tonu, frazy i kunsztu aktorskiego”.

Była świetną partnerką. Przebywając z nią razem na scenie, zapominało się, że to przedstawienie. Mimo że sama była kłębkim nerwów wносиła do akcji spokój i pewność, że nic niespodziewanego zdarzyć się nie może.

Ostatnią rolę w lubelskim Teatrze Muzycznym była Magdalena w „Balu w Savoyu”. Rola wiernej żony, którą mąż wieczorami zdradza z tancerkami

i refrenistkami w Hotelu „Savoy” budziła w widzach szczere współczucie, natomiast w drugim akcie, kiedy udowodniała, że potrafi tańczyć, śpiewać i nie jest mniej atrakcyjną od zawodowych podrywaczek – satysfakcję żeńskiej części widowni. Taki „dualizm” z natury był przypisany Jarmułównie, bo posiadała obie cechy cenione przez publiczność: wiarygodność wzorowej małżonki i talent divy operetkowej.

Po zakończeniu kariery nie opuściła Lublina. I kiedy robi codzienne zakupy, to nikt nie podejrzewa, że spotyka jedną z najciekawszych artystek, jakie pojawiły się w minionym ćwierćwieczu w Kozim Grodzie.

Redaktor

Anegdoty na pięciolinii

O śpiewakach

Wśród śpiewaków można spotkać wielu lekarzy laryngologów. Sławny baryton austriacki Alfred Poel najpierw był lekarzem, a dopiero później, po studiach muzycznych - śpiewakiem. Po jego debiucie przyszedł za kulisy były pacjent i składając śpiewakowi gratulacje, powiedział, czyniąc aluzję do drogiego biletów: „za moje gardło płaciłem panu jednak mniej niż za pańskie!”

Veriano Luchetti, znany włoski tenor był pilotem. Zapytany dlaczego rzucił zawód pilota dla kariery śpiewaczej, odpowiedział: „Upadków artystycznych mogę mieć wiele, upadek lotniczy – tylko jeden!”

Znakomity znawca muzycznych anegdot Bogusław Kaczyński opowiadał, że Lucjano Pavarotti zwierzył mu się z następującego epizodu swojego życia: „Kiedy wygrałem konkurs wokalny i po raz

pierwszy zaśpiewałem Rudolfa w CYGANERII - to ojciec obecny na tym przedstawieniu powiedział mi po premierze: byłeś dobry, ale Lauri Volpi był lepszy. - Gdy parę lat później debiutowałem również w roli Rudolfa w Covent Garden, ojciec orzekł: Byłeś świetny, ale Tagliawini był lepszy. - Wreszcie gdy śpiewałem jako Rudolf w La Scali - ojciec ocenił mój występ następująco: byłeś znakomity, ale Gigli był lepszy. Nadszedł czas, że pojechałem śpiewać tę partię do Metropolitan i odniosłem niebywały sukces, wówczas wysłałem do ojca, którego tym razem na przedstawieniu nie było - depeszę: Byłem genialny, ale Caruso był lepszy!"

Ps. Wydawcą zebranych anegdot o ludziach muzyki jest Wydawnictwo Muzyczne „Polihymnia” w Lublinie.

Ryszard Żuchowski

Z LITERATURĄ TĄ OD WSCHODU ZE „WSCHODEM” Chwila z poezją

Chełmska Grupa Literacka „Lubelska 36”
Wiersze z tomu: „Chełm w poezji”

Moje miasto

obudzę moje miasto
wielkopostną kołatką
zapachem babiego lata znad Uherki
inkrutowanym słowem rzuconym
w ciszę miłorzębu

otulę moje miasto
siwizną mgieł
srebrnym pyłem jutrzni
zatopioną poezją w złotej
księdze czasu

powędruję moim miastem
do KAJ-a i Waśniewskiego
we framudze Kameny postawię Egerię
i znowu setki świec zapłoną
pochodniami wierszy

posłucham mojego miasta
koncertu smukłych dzwonnicy
wież świętych wołania
i wielkich skrzypiec małej Idy
i Ewangelii z Rozesłania

przysiądę z moim miastem
w cieniu kasztanów gdzieś na Górcie
szepcąc wypowiem po stokroć już wypowiedziane
pod Twoją obronę...
Chełmska Pani

Waldemar Taurogiński

Chełmski świt

W czas łowienia świtu
wychodzę
rybak bez sieci
z otwartą piersią uczuć
po zboczu wzgórze
gonię płochliwe piękno
na kopule Chełma
staję pośrodku ciszy
kiełkuje świt
i gubi poranną muzykę
brodatych trzmieli

Chcę złowić w potrzask słowa
kwitnienie wschodu
i utkać strofami
czas
co niepostrzeżenie
draży przestrzeń

a świt
eksplozją blasków
opada
jak srebrny pył
na moje miasto.

Longin Okoń

Mój Chełm

Był dom co żywota dokonał powoli
z bramą na oścież stołecznej ulicy
i sad był a może cień już tylko sadu
więc jak tu mówić o lipcowym chlebie
gdy żar jeszcze drzemie pod ostatnim żebrem.
Ojciec garść konwalii postawił na oknie
na balkonie stała skrzynia świeżo malowana
zgoiliłem brodę wróciłem do białej koszuli
czarną barwą krzyczało z narożnych kamienic
wszystko było skończone — wszystko było od nowa.
Z brzozonej huby warzyliśmy czarny proszek
w encyklopediach ciągle pisano o Curie
zboża i łąki szumiały dokoła
drewniane domy drewniane konie
spod drewnianych dachów drewniane ulice:
mój Chełm jak sen pozostał nienazwany.

Waldemar Michalski

Chełm

W mieście nad Uherką
klasztory i wysmukłone kościoły
klęczą do dziś w pokornej modlitwie
ze wspomnieniami zamglonych lat
a jednak ciągle żywych w pamięci
jak beatyfikacja Jozefata Kuncewicza
i męczenników pratulińskich.

W mieście kredowych pagórków
z pogromu kata ocalała unicka diecezja
a z nią owieczki na ołtarzu ofiarnym.
Potem cierniową drogę znaczyły ich groby -
dzieci tego samego Boga
któremu — jak Oni — przysięgamy wierność.

W mieście nad Uherką z zieleni ziemi
blisko do błękitu nieba —
Z błękitu nieba do jądra ziemi matki
A dzwony dzwonią na podniesienie
A ręce znak krzyża kreślą
A pamięć odrasta nieustannie.

Ryszard Kornacki

Do rodzinnego miasta

Matce mojej

Dziś dopiero sobie przypomniałem
— no pomyślcie, wszak to coś strasznego!
tyle wierszy już w życiu pisałem,
a o mieście swym ani jednego.

A więc biję się ze skruchą w piersi,
bo naprawdę to jest wielka wina:
tu mnie wszyscy oglądali pierwsi,
kiedym jeszcze był małą dzieciną.

I te wszystkie żydowskie okienka,
te cuchnące i brudne rynsztoki
pamiętają, jak byłem maleńki
i kroczkami były moje kroki.

Tu był ojciec kochany lekarzem,
i mówiłem do niego: tatusiu.
(Czarna płyta dzisiaj na cmentarzu:
moje pierwsze twarde „tak być musi” ...)

Jakaż radość to była w niedzielę,
gdy mnie ojciec do cyrku brał czasem...
O, trapezy, klowni, karuzele!
O, orkiestro, grzmiąca z hałasem!

Nieraz z matką szedłem do kościoła,
gdzie naprawdę mieszkał Pan Bóg wtedy...
(Dzisiaj wiem, że wszędzie na mnie woła,
i w kościele bywam rzadko kiedy).
O, poezjo nabożeństw majowych!
Srebrny głosie kościelnego dzwonka!
(I nie przyszło mi wtedy do głowy:
będę wolał kiedyś pieśń skowronka...)

Tu wyrosłem na dużego chłopca
(jest gdzieś moja szkolna podobizna)
tu dławila wrogów mowa obca,
i bolało mnie słowo — Ojczyzna.

Przechodziło się z klasy do klasy,
nawet brało się listy pochwalne.
(Dobre były i niedobre czasy...
O, duszące mury gimnazjalne!)

O, dziecinne me indyjskie skalpy!
O, wigwamy gdzieś w dziewiczym borze!
(Dzisiaj kuszą mnie Tatry i Alpy
i błękitne roześmiane morze).

Tutaj były te pierwsze uśmiechy
i z dziewczęcych spojrzeń radość pusta,
moje pierwsze, tak niewinne grzechy,
gdym dowiedział się, po co są usta....

A za miastem jest cichy cmentarzyk,
gdzie złożono przenajdroższe kości,
więc cokolwiek w mym życiu się zdarzy,
tu zostanie część mojej miłości.

Tak. Tu pomruk mój nigdy nie stanie:
nikt nie bywa w swym mieście prorokiem.
Jednak wiem, że nawet w Hindustanie
w stronę Chełma spojrzę łzawym okiem.

K.A. Jaworski

Opracowała: Marta Ładak

Stefan Darda kontynuuje swoją przygodę z „Czarnym Wygonem”

Tekst, który pod koniec zeszłego roku został zaprezentowany na antenie Programu Trzeciego Polskiego Radia, nawiązuje w sposób niezobowiązujący do dwóch wydanych już części „Czarnego Wygonu” („Słoneczna Dolina” oraz „Starzyzna”), a jednocześnie stanowi swego rodzaju wprowadzenie do trzeciej, i jak się okazuje nie ostatniej części tego cyklu powieściowego, zatytułowanej „Bisy”. W tym numerze prezentujemy Państwu fragment opowiadania, będącego przedsmakiem kolejnej wspólniejszej publikacji.



Spotkanie autorskie ze Stefanem Dardą 2012 r.

Słowo Czarnego

1.

Ten strach był dla niej jak zaciskająca się coraz mocniej na szyi pętla. Przed chwilą, gdy siedziała przy łóżku Mateusza i patrzyła w rozpalone gorączką jasnoniebieskie oczy, usiłowała nie dać po sobie poznać, że jej oddech również staje się coraz płytszy, a panika lodowatymi palcami uciska tłukące się w piersiach serce. Chłopiec szukał na twarzy matki spokoju, wypatrywał choć śladu nadziei, więc nie mogła go zawieść. Kiedy wreszcie zasnął, bezszelstnie wymknęła się z pokoju, zostawiając zapaloną nocną lampkę i lekko uchylone drzwi. Zbliżyła się już północ, a ona dopiero teraz przypomniała sobie o wypranej pościeli rozwieszanej rano na sznurach obok domu. Zarzuciła więc na plecy wełnianą chustę i wyszła na podwórze. Zmierając w kierunku odbijających światło księżyca, poruszanych wzmagającym się wiatrem prześcieradeł i poszew, wierzchem dłoni, otarła wilgoć z policzków. Obraz stał się ostrzejszy. Noc była jasna, choć przepływające po atramentowym niebie chmury od czasu do czasu kradły trochę księżycowego blasku. Teresa podniosła głowę i spojrzawszy w niebo, uświadomiła sobie, że jest już po pełni. W ostatnich tygodniach czas miał dla niej tylko jeden wymiar, określony trudną do precyzyjnego oznaczenia, choć przerażająco nieuchronną datą. Jeszcze rok temu, w Wielki Piątek dwa tysiące szóstego roku, przygotowywałyby się na nadejście Wielkanocy, czuwając przy Bożym grobie w miejscowym kościele. Teraz było jej wszystko jedno. Jeszcze kilka dni temu, przed wizytą w lubelskim szpitalu, błagała na kolanach o cud, ale teraz było jasne, że ten się jednak nie zdarzy. Przystanęła, gdy do jej uszu od strony drogi prowadzącej z Adamowa dobiegły jakieś odgłosy, przeciskające się przez chłodną ciszę kwietniowej nocy.

Otuliła się mocniej chustą i stanęła nieruchomo. Po chwili rozpoznała charakterystyczne skrzywienie nienasmarowanych łożysk znajomej dwukółki.

„Co on, do diabła, robi tu o tej porze i to w taką noc? – zapytała samą siebie w myślach. – Chyba już mu się całkiem pomieszało w tej starej, siwej głowie”.

Wzruszyła ramionami i zaczęła zdejmować pościel. Odgłosy były coraz wyraźniejsze, a do zgrzytów i popiskiwania wydawanego przez koła starego wózka dołączyło miarowe szuranie podeszew o nawiewany na asfalt piach.

Pamiętała tego człowieka jeszcze z czasów, gdy był postawnym, wysokim mężczyzną z bujną, czarną brodą. Sprowadził się do Adamowa mniej więcej w połowie lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Ojciec Teresy wspominał, że Bobowicz początkowo budził wśród miejscowych nieufność, ale ponieważ na koniach znał się jak mało kto, a do pomocy zawsze był pierwszy, prędko zaskarbił sobie uznanie okolicznych gospodarzy. Niektórzy mówili, że to brat słynnego w swoim czasie na Zamojszczyźnie cygańskiego wójta – Romana Bobowicza z Grabowca. Ile w tym było prawdy, a ile zwykłego ludzkiego gadania, trudno powiedzieć, ale przybycie Czarnego, jak wszyscy nazywali go w okolicy, zgadzałyby się w czasie z przymusowym osiedlaniem Romów w grabowieckim pałacu.

Od kiedy konie ostatecznie zastąpione zostały przez maszyny, Czarny zaczął najmować się do pracy w lesie, a gdy z powodu artretyzmu i podeszłego wieku musiał zrezygnować i z tego zajęcia, zajął się zbieraniem złomu po wioskach w okolicy Adamowa. Lekko przygarbiona sylwetka, ciągnąca za sobą skrzypiącą dwukółkę, stała się nieodłącznym elementem lokalnego krajobrazu.

Był już na wysokości domu Teresy, kiedy skończyła zbierać pranie. Widok na drogę zasłaniał wysoki parkan, ale dochodzące zza ogrodzenia dźwięki nie pozostawiały co do tego żadnej wątpliwości. Kobieta wzruszyła ramionami i ruszyła w stronę domu. Co ją obchodzi jakiś stary wariat?

„Jak ma ochotę, to może sobie tak łązić nawet do Niedzieli Wielkanocnej albo i dłużej” – pomyślała.

Kiedy zamykała za sobą drzwi, skrzywienie wózka i kroki starego ustały; miała wrażenie, że dokładnie na wysokości jej furtki. Być może Czarny usłyszał ją i chciał zapytać o jakieś niepotrzebne metalowe sprzęty.

Po chwili jednak uświadomiła sobie, że coś jest nie tak. Przyzwyczała się do wizyt Czarnego w Bliżowie, ale ta dzisiejsza wyglądała jakoś... inaczej. Teresa stała przez chwilę na środku kuchni z naręczem pachnącej świeżością pościeli, po czym położyła ją na krześle

i znów wyszła na zewnątrz.

Nic się nie zmieniło. Było całkowicie cicho, nie licząc szumu wiatru, który wciąż się wzmaczał.

Wreszcie zrozumiała.

Za każdym razem, gdy Czarny zbliżał się do Bliżowa, dźwiękom wydawanym przez jego wózek towarzyszyło zawzięte ujadanie. Być może skrzywienie kół tak rozwścieczało miejscowe kundle, a może w nieznanym człowieku wyczuwały one jakieś zagrożenie. W każdym razie przybycie Bobowicza zawsze do tej pory było przez nie sygnalizowane, zanim jeszcze mieszkańcy zauważyli go na opadającej ku wsi drodze.

Tym razem nie zaszczekał ani jeden pies.

2.

Mateusz w ciągu ostatnich dni przespał najwyżej kilkanaście godzin. Choroba wyniszczała go od środka, a bólu nie były w stanie zagłuszyć nawet silne medykamenty, więc tym bardziej każda kolejna godzina snu była dla chłopca na wagę złota. Stojąc przed drzwiami, Teresa z niepokojem oczekiwała pierwszego hałaśliwego szczeknięcia, które sprawi, że cała wieś zabrzmi kakofonią psiego ujadania. Już nie było jej wszystko jedno.

Ruszyła w stronę furtki.

Gdy ją uchyliła, zobaczyła Czarnego, który stał nieruchomo i patrzył w stronę kobiety. Czekał.

Kolor włosów i brody, od którego wzięło się przezwisko, dawno już zastąpiła siwizna. Oczy, płonące niegdyś ciemnym blaskiem, z czasem zostały zasnute bielmem, ale Bobowicz nie wyglądał na niedołężnego starca. Choć przygarbiony pod jarzmem upływającego czasu, i tak górował nad Teresą prawie o dwie głowy. Po plecach kobiety przebiegł dreszcz, mimo to podeszła bliżej i odważnie spojrzała Czarnemu w twarz.

– Panie Bobowicz, po co pan się tu kręci po nocy? – Zapytała – Przecież o tej porze i tak nie uda się panu niczego znaleźć, a tylko...

Zgubiła wątek. Jego osadzone w śniadej twarzy oczy niemal fosforyzowały bielą. Poruszone wiatrem siwe, długie włosy, w których tańczyło światło księżycy, sprawiały, że wyglądał wręcz upiornie. Teresa cofnęła się o krok.

– Zaraz pobudzi pan tym swoim wózkiem wszystkie psy we wsi, a mój syn bardzo potrzebuje snu.

Przyszło jej na myśl, że mogłby zostawić dwukółkę i wrócić jutro, ale zanim zdążyła to zaproponować, usłyszała:

– Tak, doskonale zdaję sobie z tego sprawę, moja

droga. To zdecydowanie zbyt późno wykryty mięsak Ewinga, nieprawdaż?

Zanim dotarła do niej treść pytania, zwróciła uwagę na inaczej niż zwykle artykułowane słowa. Rozmawiała z Bobowiczem wielokrotnie, gdy przychodził po stare rupiecie, lecz tym razem jego głos brzmiał zupełnie inaczej. Łagodnie, dźwięcznie, z trudnym do wychwycenia, ale słyszalnym obcym akcentem.

– Skąd pan wie? – zapytała po chwili.

Uśmiechnął się, odsłaniając dwa rzędy równych i zaskakująco białych zębów. Pierwszy raz widziała, jak Czarny się uśmiecha.

– Och, Teresko... Ja wiem więcej, niż mogłoby ci się zdawać.

– Ludzie gadają, prawda? Czasem mam wrażenie, że cieszą się z nieszczęścia, które nas...

– Ludzie przeważnie rozmawiają na serio o rzeczach zupełnie nieistotnych – przerwał jej – a po sprawach naprawdę ważnych prześlizgują się ledwie pobieżnie. Nie od nich wiem o twoim problemie i nie pytaj skąd, bo to akurat nie ma najmniejszego znaczenia.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Zasnuty mi bielmem oczyma przypatrywał się uważnie kobiecie. Wreszcie znów się odezwał:

– Jestem tu, aby ci pomóc, moja droga. Wiem, czego potrzebujesz i twojemu synkowi.

Teresa pokręciła głową.

– Lekarze nie dają żadnych szans, więc...

– Są inni lekarze. Są nowe metody leczenia, które mogą znacznie przedłużyć życie Mateuszowi. Oczywiście, wymagają one dalekich wyjazdów, nawet za granicę, są kosztowne, ale dają nadzieję.

– Wiem, ale nie mam takich pieniędzy – powiedziała, spuszczać wzrok. – Brakuje mi nawet na lekarstwa, a co dopiero...

– Nie wyglądam na krezusa, ale pamiętaj, że pozory mogą mylić. – Podeszedł do kobiety i położył dłonie na jej ramionach. – To jak, Teresko? Jeśli miałbym taką kwotę, przyjąłabyś ją ode mnie?

Ponownie na niego spojrzała, a zaraz potem skinęła głową.

– Zrobiłabym wszystko, by dać Mateuszowi szansę. Mężczyzna znów się szeroko uśmiechnął.

– To właśnie chciałem usłyszeć – rzekł, a zaraz potem dodał: – Oczywiście, nie zrobię tego za darmo. Mam nadzieję, że to rozumiesz, moja droga?

Jeszcze raz skinęła głową.

– Będę cię wkrótce potrzebował. – Przez wełnianą chustę poczuł, jak kobieta zaczyna drżeć i dodał:

– Nie bój się, to nie jest to, o czym myślisz. Zresztą,

jestem już na to za stary. – Nieprzyjemny śmiech, który przerwał jego słowa, zupełnie nie pasował do wcześniejszego, łagodnego tonu głosu.

Odsunęła się o kilka kroków.

– Więc co mam zrobić? – zapytała. – I jaką mam pewność, że mówi pan prawdę o tych..., o tym, że dostanę te pieniądze?

– Nie masz żadnej pewności – odparł, szczerząc zęby w fałszywym uśmiechu. – Masz za to moje słowo i ono na razie musi ci wystarczyć.

Rozpiął płaszcz i z jego wewnętrznej kieszeni wyjął białą, lekko pomiętą kopertę.

– Trzymaj. Na razie jest pusta, ale gdy zrobisz to, czego od ciebie oczekuję, znajdziesz w niej wystarczającą ilość pieniędzy. Wiedz jednak, że nie będzie to łatwe zadanie. Dlatego dam ci do namysłu dobę. Jutro o tej porze znów przyjdę i jeśli tutaj, pomiędzy deskami furtki, nie znajdę koperty, będzie to znaczyło, że nie zmieniłaś zdania.

Nie czekając na odpowiedź, chwycił za metalową rączkę dwukółki i ruszył w powrotną drogę. Wózek zaskrzypiał przeraźliwie, a Bobowicz odwrócił się i rzucił jeszcze przez ramię:

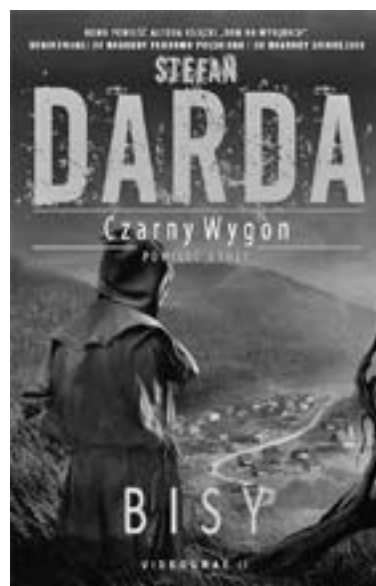
– Nie bój się, psy nie będą dziś czekać. Możesz być o to spokojna, moja droga. Możesz być spokojna, bo Czarny zawsze dotrzymuje słowa.

(...)

Od redakcji:

W następnych numerach czasopisma "Wschód" będziemy prezentować kolejne fragmenty opowiadania jak również recenzje publikacji Stefana Darda.

opracowała: Renata Włostowska



Dzień Pszczelarza - święto miłośników miodu i nie tylko...

Właśnie rozpoczął się sezon imprez plenerowych, których organizatorzy prześcigają się w coraz to bardziej innowacyjnych pomysłach. Co roku słychać o nowych, godnych polecenia inicjatywach, które mają na celu przede wszystkim integrację lokalnej społeczności. Wśród nowych propozycji są i te, które na dobre wpisały się w kalendarz imprez Lubelszczyzny i od lat cieszą się niesłabnącą popularnością. Doskonałym tego przykładem jest organizowany od 2005 roku przez hańszczan Dzień Pszczelarza poświęcony pamięci księdza Jana Dolinowskiego. Na obchody VIII już edycji pszczelego święta zaprasza marek Kopieniak – wójt gminy Hańsk...

„Drodzy czytelnicy

Mam zaszczyt zaprosić wszystkich zainteresowanych na wspaniałą uroczystość na której z wielkim impetem przypominamy sylwetki najznakomitszych pszczelarzy, w tym, naszego krajana Ks. Jana Dolinowskiego. W tym roku przygotowaliśmy dla Państwa szczególnie bogaty program. Wzorem lat ubiegłych uroczystości rozpocznie konferencja naukowa o tematyce pszczelarskiej. Dla upamiętnienia zasług Ks. Dolinowskiego odsłonięty zostanie również jego pomnik. Drugą część lipcowych uroczystości to festyn na którym wystąpią zespoły ludowe m.in. Kresowianki, Seniorki czy Hańszczanie. Nie zabraknie też występów kabaretowych czy mocnego rockowego brzmienia. Całość zwieńczy zabawa pod chmurką w takt muzyki disco. Od wielu lat festynowi towarzyszą także konkursy: „Wiedzy o pszczole”, „Wypieki z miodu”, „Najsmaczniejszy miód z pasieki. Wszyscy chętni znajdą też degustatorskie stoiska miodu i wyrobów pszczelich. Zapewniam, że atrakcji nie zabraknie ani młodszej ani starszej widowni. Łączę pozdrowienia i mam nadzieję do zobaczenia w Hańsku!”

Marek Kopieniak
Wójt gminy Hańsk

Wszystkich zainteresowanych odsyłam na stronę Gminnego Ośrodka Kultury w Hańsku (gokhansk.pl) lub oficjalną stronę Gminy Hańsk.

Redaktor

Ksiądz Jan Dolinowski Duszpasterz, pszczelarz, wykładowca, konstruktor, publicysta

Jednym z najbardziej zasłużonych krzewicieli pszczelarskiej oświaty w XIX wieku, którzy oddali wybitne zasługi naszemu pszczelarstwu był ksiądz Jan Dolinowski. Urodził się on 15 maja 1814 roku w Hańsku koło Włodawy na uroczym Polesiu Lubelskim. Ojciec Szymon był proboszczem greckokatolickiej parafii w Hańsku, wcześniej w Otroczy koło Janowa Lubelskiego. Ojciec był kapłanem światłym i wykształconym. Mieszkając w Hańsku, dojeżdżał do Chełma i prowadził wykłady z teologii w greckokatolickim eparchialnym seminarium duchownym. Matka Praksewyja Praksesta była córką duchownego greckokatolickiego, pochodziła z rodu Gruszeckich.

Jan Dolinowski naukę początkowo pobierał w szkole Ojców Pijarów w Chełmie. W latach 1826-1830 uczył się w szkole wojewódzkiej w Lublinie. W latach 1831-1832 uczył się leśnictwa w Szkole Rolniczej i Leśnej w Marymoncie pod Warszawą, której kontynuatorką jest dziś Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego /SGGW/ w Warszawie przy ul. Nowoursynowskiej. Zanim jednak ukończył szkołę w Warszawie, został wezwany do domu przez rodziców i prałata kapituły chełmskiej – Felicjana Szumborskiego, który był jego ojcem chrzestnym – celem wstąpienia do seminarium.

Niedoszły leśnik bez oporu spełnił polecenie. W latach 1833-1836 uczył się w greckokatolickim eparchialnym seminarium duchownym w Chełmie. Po ukończonych studiach otrzymał święcenia kapłańskie. Ożenił się z Teklą z Pocijów. W latach 1836-1857 pełnił funkcję administratora, a następnie proboszcza parafii w Cycowie, niewielkiej wówczas miejscowości



Dzień Pszczelarza 2011r.

Fot. z archiwum Gminnego Ośrodka Kultury w Hańsku

położonej przy głównej drodze łączącej Lublin z Włodawą. W latach 1857-1975 był administratorem, a następnie proboszczem parafii w Hańsku. Krótka powtórka z historii. Wiek XIX dla Polaków to życie bez własnej państwowości, kraj jest pod jurysdykcją trzech zaborców. Szkolnictwo i kultura były poddane nadzorowi cenzorskiemu. Panował absolutyzm carski, system feudalno-pańszczyźniany. Szkoła, Cerkiew Prawosławna, wszystkie instytucje administracyjne i kulturalne miały służyć ugruntowaniu absolutyzmu carskiego. Na ogromną skalę stosowano prowokacje i donosicielstwo. Krótki wywód historyczny pozwala z całym przekonaniem powiedzieć, że życie księdza Jana Dolinowskiego, nie zawsze było usłane różami. W maju 1844 r. spłonęła w Cycowie cerkiew greckokatolicka z wyposażeniem i probostwo. Wiele lat strawił młody proboszcz na próbach odbudowy świątyni, której jednak nie odbudował. Udało to się dopiero jego następcy, którego finansowo wsparł biskup.

Ksiądz Jan Dolinowski już wtedy przebywał i pracował w drugiej parafii w Hańsku. Praca księdza w Cycowie to wielkie poświęcenie. Wojska carskie przyniosły ze sobą epidemię tyfusu, społeczeństwo szczególnie z tego terenu bardzo ucierpiało. Ksiądz Dolinowski z narażeniem życia niósł słowa pociechy pod wiejskie strzechy, ratował ludzi jak tylko potrafił, nawet materialnie, za co otrzymał Złoty Krzyż Kapłański. Praca duchownego Dolinowskiego oraz działalność na zewnątrz cerkwi greckokatolickiej, zarówno w Cycowie jak i w Hańsku odbywała się pod baczny okiem żandarmów carskich.

Nie poddaje się w żadnym okresie czasu trudnościom i naciskom ze strony zaborcy. Zapal i zamiłowanie do pszczół, bardzo ciężka i uporczywa praca,

doprowadziła młodego księdza do tego, że stał się bardzo wczesnie pszczelarzem wysokiej klasy. Oczywiście, że nie zaniedbywał pod żadnym pozorem służby duszpasterskiej wśród wiernych.

Ksiądz Jan Dolinowski jako pierwszy na ziemiach polskich opracował zasady konstrukcyjne i zbudował własnoręcznie ul ramowy otwierany od góry. Skonstruował oryginalny ul, w którym zastosował rozwiązanie konstrukcyjne ula Dzierżona /snozowego/ i przewiewnego ula Nutta. Ul Dolinowskiego po pewnych udoskonaleniach stał się prototypem ula warszawskiego.

Konstruktor oraz jego dzieło stał się przedmiotem licznych dyskusji, rozmów i prób naśladowania. Wielu uznało nowy ul za istotne osiągnięcie i zaczęło stosować go we własnych pasiekach, usuwając stare kłody, kószki czy ule snozowe. Znaleźli się jednak także, jak to zwykle bywa, przeciwnicy zarówno samego ula, jak i publikacji księdza Dolinowskiego, twierdząc, że są to mało realne pomysły, nie zasługujące na wprowadzenie w życie. Niektórzy zarzucali nawet autorowi słabą znajomość pszczelarstwa, jak to uczynił Kazimierz Krasicki w recenzji jednej z jego książek.

Wpływ księdza Dolinowskiego na środowisko pszczelarskie był szczególnie widoczny w ówczesnej Guberni Lubelskiej. W ciągu kilkunastu lat ogromnie zwiększył się stan pasiek, a także zmieniła się ich jakość w rejonie Łęcznej, Trawnik i Milejowa, nawet w wielu miejscowościach na południe od Lublina.

Dругa publikacja księdza Dolinowskiego została jeszcze raz wydana drukiem w 1875 roku pod zmienionym tytułem Pszczelnictwo praktyczne, czyli chów pszczół w ulu ramowym zastosowanym do naszego klimatu przez ks. Jana Dolinowskiego z ulepszeniami praktycznych pszczelarzy. Książka została przełożona na język rosyjski i niemiecki. Ksiądz Dolinowski ogłaszał profesjonalne artykuły w następujących czasopismach: „Tygodniku Rolniczo-Przemysłowym”, „Gazecie Rolniczej”, „Korespondencie Rolniczym” i innych. W kwietniu 1853 roku ks. Dolinowski uczestniczył w pszczelarskich warsztatach naukowo-praktycznych. W 1859 roku Towarzystwo Rolnicze Królestwa Polskiego zorganizowało w Łowiczu krajową wystawę rolniczą, na której ul ramowy, skonstruowany przez księdza Dolinowskiego otrzymał wielki medal srebrny. Ul ramowy Dolinowskiego prezentowany na krajowych wystawach rolniczo-przemysłowych

w roku 1867 i 1874 uznany został przez konferencję pszczelarzy Królestwa za najlepszego.

Ksiądz Jan Dolinowski był tytanem pracy. Dzięki jego badaniom, konstrukcjom i popularyzacji w całym Królestwie Polskim, w cesarstwie austriackim i na Podolu nastąpił imponujący rozwój sztuki pszczelarstwa. Sam prowadził własną pasiekę i według literatury przedmiotu hodował pszczoły w około trzystu ulach.

Ksiądz Jan Dolinowski grecko-unicki proboszcz Hańska i Cycowa był jednym z tysięcy kapłanów powtarzających Tajemnicę Wieczernika i Golgoty. Był duszpasterzem i nauczycielem. Uległ urokowi ducha przyrody. Posługiwał również w unickiej kaplicy filialnej w Żdźzarce odległej około 7 kilometrów od Hańska. Zapał i zamiłowanie do pszczół, ciężka praca doprowadziły młodego księdza do tego, że stał się bardzo wcześnie pszczelarzem wysokiej klasy – wielkim prekursorem pszczelarstwa polskiego.

W burzliwym okresie (1863–1864) Dolinowski był poważnie chory, msze odprawiał potajemnie. Trwała masowa rusyfikacja unitów – nawracanie na prawosławie, oporni zaś byli zsyłani na Sybir. Księdzu Dominowskiemu za pomoc udzielaną powstańcom groziło także zesłanie na Sybir. Jednak okrucieństwa realizowane przez zaborcę na ludności unickiej zahamowały działalność pszczelarską proboszcza. Przestał pisać i usprawniać dotychczasowe osiągnięcia konstruktorskie. Poświęcił się głównie służbie duszpasterskiej w konspiracji przy nasilonej akcji nawracania unitów na prawosławie. Wyrok skazujący na katorgę – zsyłkę na Sybir, uprzedziła na kilka dni przed aresztowaniem, jego śmierć. Ksiądz Jan Dolinowski zmarł 10 stycznia 1875 roku Wiek sędziwego nie dożył. Został pochowany na cmentarzu obok cerkwi unickiej. Wierni parafianie postawili dwa krzyże dębowe, a po środku zasadzili małą rajską jabłoneczkę. W chwili obecnej nie ma śladu po cmentarzu unickim na placu przykościelnym. Władze carskie zaczęły masowo budować murowane cerkwie dla prawosławnych, hańska cerkiew z 1882 roku częściowo została pobudowana na cmentarzu unickim – od roku 1921 pełni funkcję kościoła rzymskokatolickiego. Grobem księdza opiekowali się miejscowi unicy, a najdłużej Józefat Kornyszuk i Girsza Prokop, którzy byli zesłani na Sybir i wrócili spod Irkucka po 5 latach. Rajską jabłoń została wycięta dopiero w roku 1952, gdy było wykonywane nowe

ogrodzenie kościoła za czasów proboszcza księdza Jędrycha.

Dla uczczenia zasług, jakie wniósł ksiądz unicki Jan Dolinowski dla rozwoju pszczelarstwa polskiego, w 130 rocznicę śmierci księdza, przypadającą w 2005 roku, wójt gminy Hańsk – Marek Kopieniak, nieoceniony przyjaciel braci pszczelarstwa razem z Nadbużańskim Związkiem Pszczelarskim w Chełmie wraz z pszczelarzami z gmin powiatu włodawskiego – zorganizował święto „Dzień Pszczelarza”. W roku 2010 odbyła się już szósta edycja tego święta, do którego organizacyjnie dołączyli pszczelarze ze Stowarzyszenia Pszczelarzy Lubelskich w Lublinie.

Dla podkreślenia osobowości tej rangi, jaką był na tym terenie ksiądz Jan Dolinowski w roku 2006 przy alei prowadzącej do kościoła w Hańsku położono kamień z tablicą przypominającą tę postać i posadzono pamiątkowy dąb.

mgr Ryszard Szewcowski

*Prezes Polesko-Nadbużańskiego Koła Pszczelarzy
we Włodawie*

HISTORIA LEKSEMU PSZCZOŁA

Celem niniejszej pracy jest przedstawienie historii wyrazu pszczoła. W związku z tym należy przeanalizować historię tego leksemu na przestrzeni wieków. Trzeba zwrócić uwagę na zmiany zachodzące w obrębie formy. Ponadto zostanie przedstawione funkcjonowanie słowa w przysłowiach oraz w tekstach literackich.

Leksem pszczoła wywodzi się od prasłowiańskiego wyrazu *bъčela. Bierze swój początek przypuszczalnie od prasłowiańskiego dźwiękonaśladowczego rdzenia *bъk-, *bъč- związanego z prasłowiańskim *bučati, co oznacza „wydawanie niskiego, przeciągłego głosu, np. brzęczeć (o owadach)”. Nie można jednak wykluczyć pierwotnej prapostaci *bъčela. Ważny jest przyrostek *-ela¹.

Etymologia tego słowa nie jest kłopotliwa.

Pierwotne byłoby znaczenie, że pszczoła jest to „ta, co brzęczy”. Pszczoła to owad powszechnie znany, którego wyrobem jest miód i воск. Należy do owadów, mających skrzydła błonkowate i przezroczyste. Autor charakteryzuje pszczoły pracujące, które są bardzo pilne, mają żądła przy odwołku i nazywają się roboczymi. Samce są nieco większe od roboczych, nie pracują, noszą nazwę trądów, na Litwie zaś są to trutnie bądź wodorosty. W gromadzie nazywanej się rojem znajduje się zazwyczaj jedna samica, określana matką lub królową². Pszczoła robotnica jest samicą, ma uwstecznione narządy rozrodcze. Wykonuje wszelkie prace związane z bytowaniem rodziny pszczelej. W pierwszym okresie jako pszczoła nielotna pracuje w ulu, później zaś jako pszczoła lotna pracuje poza ulem, zajmując się zbieraniem pokarmu³. Inny słownik języka polskiego również podaje definicję terminu pszczoła. Jest to owad latający o brązowo-żółtym, owłosionym ciele. Pszczoła żyje gromadnie, od dawna jest hodowana przez ludzi, gdyż wytwarza miód i воск oraz zapyla wiele roślin. Samica posiada żądło, którym może boleśnie uządlić⁴. Wyjaśnione są także znaczenia porównań człowieka do pszczoły, co znaczy, że jest pracowity i skrzętny. Natomiast będąc określony trutniem, postrzegany jest jako próżniak, darmożjad i basałyk⁵.

W języku prasłowiańskim występowała forma *bъčela. Natomiast w języku staropolskim jest już forma *pčola. Pierwsze adnotacje dotyczące obecności leksemu pczola są w Słowniku staropolskim. Odnaleźć można kilkanaście dat i źródeł, w których wyraz ten występuje. Otóż można zauważyć, iż w XIV wieku jest już nazwa osobowa Bczołka. Leksem notowany jest od XV wieku jako pczola. Forma pczola w Mianowniku liczby pojedynczej zostaje odnotowana w 1472 roku przez Józefa Rostafińskiego w Materiałach źródłowych do słownictwa przyrodniczego średniowiecznych wieków w Polsce. Znane zabytki średniowiecznej literatury zawierają formy fleksyjne pczolę i pczoly. Są nimi Psalterz Puławski (rękopis z II połowy XV wieku) oraz Psalterz Floriański łacińsko-polsko-niemiecki (z roku 1400 i początku XV wieku). Biblia szarospatacka również zawiera ten leksem. Poza tym leksem ten pojawia się głównie w księgach sądowych. Dokła-



dnie z 1396 r. pochodzą Teki Pawińskiego, a więc Księgi sądowe łęczyńskie, a w 1403 roku zanotowano leksem pczol (w dopełniaczu liczby mnogiej) w Najdawniejszych księgach sądowych mazowieckich⁶. Natomiast w leksemie *bczoła doszło do ubezdźwięcznienia i powstała forma pczola. Ta z kolei została poddana procesowi dysymilacji, przez co pojawiła się forma pszczoła. Aleksander Brückner zwraca uwagę na występowanie tej postaci leksemu dopiero od XVI wieku. Można powiedzieć, że jest to wyraz dźwiękonaśladowczy, co znajduje także potwierdzenie w znaczeniu. U Czechów występuje wczela (z bczela), dlatego też powstała nazwa herbowa Wczele. Istnieje zdrobnienie tegoż leksemu, które współcześnie brzmi pszczółka, zaś w XVI wieku była to pczółka lub pcółka⁷.

Na początku XX wieku tzw. Słownik warszawski⁸ podaje nazwę łacińską pszczoły - apis mellifica. Co jest ciekawe, odnotowano odmiany pszczół wraz z nazwą łacińską. Otóż wyróżnia się pszczołę afrykańską (apis adansonii), pszczołę czarną (apis unicolor), egipską (apis fasciata), północną (apis mellifica) oraz pszczołę włoską (apis ligustica). Pszczoła jest owadem żądłowym i towarzyskim. Ponadto w słowniku tym zanotowane są przykłady przysłów, którymi jednak zajmę się w dalszej części pracy.

Wyraz pszczoła jest słowem ogólnopolskim. Warto jednak zwrócić uwagę na formy gwarowe tegoż leksemu. Odnotowano następujące: pczola, a także występująca w Świętokrzyskim pcola oraz pcowa. Forma używana pieszczotliwie to pcółka⁹. W gwarach występuje również pszoła, wczola bądź

pszczoła. Na terenie Kaszub używa się takich form, jak: pščoła i puščoła. Leksem pszczoła jest najczęściej używany w dialekcie mazowieckim¹⁰.

Leksem pszczoła występuje w przysłowiach oraz w literaturze. W twórczości Jana Chryzostoma Paska wyraz pszczoła został użyty tylko jeden raz: „Popolach lada gdzie przestronne pasieki, wszystko pszczoły w słomianych pudełkach nie wulach”¹¹. Znane są też przysłowia zawierające wyraz pszczoła, które są obecne w utworach różnych pisarzy¹². „Nie dbaj, choć pszczoła kąsa, byłeś miodu dostał”, „Pająk szuka jadu, pszczoła miodu”, „Kto ma pszczoły, ten ma świat wesół”, „Kto ma pszczoły i owce, ten ma co chce”, „Pszczoła miód zbiera i z pokrzywy”, „Nie dokuczaj pszczole, bo żądłem ukole”, „Kto pszczolom sprawi czapkę (przykrycie na ul), to one jemu suknię”. Znacznie częściej notowanymi przysłowiami są: „Kto ma pszczoły, ten ma miód, kto ma dzieci, ten ma smród” oraz „Kto chowa pszczoły i klacze, ten na biedę nigdy nie płacze”. Leksem pszczoła znaleźć można także w dziełach Adama Mickiewicza. W utworze zatytułowanym *Żaby* odnaleźć go w zdaniu: „U pszczoł jest królowa ula”. Piękne, poetyckie stwierdzenie brzmi następująco: „Jak pszczoła topiąc żądło i serce z niem grzebie, / Tak ja za myślą duszę utopiłem w niebie”. Inne obecne są w Księgach Pielgrzymstwa Polskiego: „A jeśli narody żadne mają być doskonałe, tedy kto lepiej rządzi się jak pszczoły” oraz na kartach Pana Tadeusza: „Wszczął się naprzód szmer, potem gwar i krzyk wesół, / Jak w ulu pustym kiedy węń wlatują pszczoły” oraz „Utonął w niej jak pszczoła w lilii kielichu”. Porównanie do pszczoł w dziele *Historia Polski* ma w tym przypadku niezwykle wymowne znaczenie, ponieważ „radził zaś spieszyć się z obiorem, bo jak ul pszczoł bez matki, tak Polska bez panującego trwać nie może”¹³. Stanisław Skorupka¹⁴ zbadał wyrażenia frazeologiczne, w których występuje wyraz pszczoła: „pracowity jak pszczołka”, „brzęk, brzęczenie pszczoł”, „pszczoły brzęczą, huczą na wyroju, wyroiły się” - to podstawowe z tych używanych, nawet współcześnie. Na podstawie leksemu pszczoła powstawały nazwiska współcześnie używane w Polsce. Najwięcej nazwisk pochodnych od tego leksemu to Pszczoła¹⁵.

Podsumowując, historia leksemu pszczoła nie przynosi zasadniczych zmian w jego znaczeniu. Doszło do kilku zmian w formie wyrazu, co przekształciło go i miało wpływ na jego wymowę. Wyraz prasłowiański *bъčela zmienił formę

na * bčola, a następnie na pczola. Doszło tu do ubezdźwięcznienia i procesu dysymilacji. Współcześnie używany jest wyraz pszczoła. Leksem jest powszechnie znany i używany. Jak wynika z pracy tworzy związki frazeologiczne i jest obecny w przysłowiach.

Marta Ładak

Bibliografia:

- A. Bańkowski, *Etymologiczny słownik języka polskiego*, Warszawa 2000, t. 1-2.
- W. Boryś, *Słownik etymologiczny języka polskiego*, Kraków 2005.
- *Inny słownik języka polskiego* PWN, red. M. Bańko, Warszawa 2000.
- J. Karło wieź, *Słownik gwar polskich*, Kraków 1900 - 1910, t. 1-6.
- J. Karłowicz, A. Kryński, W. Niedźwiedzki, *Słownik języka polskiego*, Warszawa 1900-1927, 1.1-8.
- M. S. B. Linde, *Słownik języka polskiego*, Warszawa 1951, t. 1-6.
- *Nowy słownik języka polskiego*, red. E. Soból, Warszawa 2002.
- *Słownik języka Jana Chryzostoma Paska*, red. H. Konieczna, W. Doroszewski, Wrocław 1965, 1973, t. 1-2.
- *Słownik języka Adama Mickiewicza*, red. K. Górski, S. Hrabec, Wrocław 1962-1982, t. 1-11.
- *Słownik języka polskiego*, red. W. Doroszewski, Warszawa 1958-1969/70, t. 1-11.
- *Słownik nazwisk współcześnie w Polsce używanych*, wyd. K. Rymut, Kraków 1992, t. 1-10.
- S. Skorupka, *Słownik frazeologiczny języka polskiego*, Warszawa 2002, t. 1.
- *Słownik języka polskiego*, red. M. Szymczak, Warszawa 1994, t. 2.
- *Słownik języka polskiego*, wyd. staraniem i kosztem Maurycego Orgelbranda, Wilno 1861, t. 1-2.
- *Słownik staropolski*, red. naczelny S. Urbańczyk, Kraków 1953-2002, t. 1-11.
- *Słownik współczesnego języka polskiego*, red. naczelny B. Dunaj, Olsztyn 1996.
- *Uniwersalny słownik języka polskiego*, red. S. Dubisz, Warszawa 2003, t. 1-3.

W wigilię sześćsetlecia unii horodelskiej

22 kwietnia 2012 roku w Horodle w powiecie hrubieszowskim odbył się Papieski Dzień Jedności Europejskiej Polska w Europie bez granic. Głównym tematem rozważań był temat jedności podejmowany przez błogosławionego papieża Jana Pawła II. Tę część lokalnego święta wzbogaciła inscenizacja przygotowana przez dzieci, młodzież i pedagogów z miejscowego Zespołu Szkół, a zakończyła msza święta jako centralny punkt dnia, którą celebrował ojciec profesor Celestyn Napiórkowski OFM.

Warto również zauważyć, że uroczystość pomyślana była jako jednoczesne przygotowanie do obchodów sześćsetnej rocznicy unii horodelskiej, której poświęcono konferencję naukową. Jako pierwszy głos zabrał ojciec Celestyn Napiórkowski, który mówił o nauczaniu Jana Pawła II skierowanym do Polaków i Litwinów, szczególnie podkreślając rolę godności pracy, rolę ewangelizacji w świeckich środowiskach. Mówca zwracał uwagę na głoszoną przez Jana Pawła II wartość prawdy, która jest podstawą dialogu w społeczeństwie.

Kolejnymi mówcami byli naukowcy Katedry Stosunków Międzynarodowych Instytutu Neofilologicznego Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Chełmie. Doktor Andrzej Wawryniuk mówił o kształtowaniu się wschodniej granicy naszego kraju w czasach od II wojny światowej, informując



o wielu nieznanym dotychczas dokumentach odnalezionych w trakcie kwerend archiwalnych.

Warto zaznaczyć, że podawane informacje spotkały się z olbrzymim zainteresowaniem, a Andrzej Wawryniuk zobowiązał się, iż dokumenty, o których wspominał w swoim wystąpieniu zostaną zaprezentowane podczas uroczystości jubileuszowych w 2013 roku. Profesor doktor habilitowany Włodzimierz Osadczy wygłosił referat o znaczeniu unii polsko-litewskiej, o jej wielkiej mądrości, o treściach ponadczasowych, które mogłyby stać się podwaliną dla dzisiejszych relacji między państwami.

Należy podkreślić, że Włodzimierz Osadczy jako jednoczesny prezes Stowarzyszenia Ucrainicum Katolickiego Uniwersytetu Jana Pawła II w Lublinie był jednym z inicjatorów wymienionych uroczystości.

Kolejny wykład to słowo – refleksja księdza prałata podpułkownika Andrzeja Puzona, który mówił o papieskiej pielgrzymce z roku 2001 na Ukrainę i nastrojach towarzyszących temu wydarzeniu wśród ukraińskiego narodu.

Były jeszcze dwa istotne wystąpienia – Andrzeja Pruszkowskiego, byłego prezydenta Lublina, który odnosząc się do unii horodelskiej wyłowił sens miłości braterskiej, nazywając horodelskie przesłanie drugim hymnem o miłości - oraz księdza Henryka Krukowskiego, proboszcza miejscowej parafii, który podziękował wszystkim za przybycie i wygłoszenie referatów.

Dodajmy, że głoszący wystąpienia, w tym również profesor doktor habilitowany Włodzimierz Osadczy i doktor Andrzej Wawryniuk otrzymali wybite wspólnie wzorowane na danych monetach dukaty horodelskie.

dr Andrzej Wawryniuk

STEFAN SIDORUK (1919 – 2012)



W kwietniu tego roku na cmentarzu w Różance z wielkim smutkiem pożegnaliśmy Stefana Sidoruka, utalentowanego poetę, znanego nie tylko na Lubelszczyźnie. Twórczość jego jest bogata (poezja, proza, malarstwo, korzenioplastyka). Można w niej znaleźć przeróżne wątki i zainteresowania – wypowiedział się w sposób pełny. Szczególnie poezję traktował jako poszukiwanie prawdy i prawości. W prostych, a pięknych słowach wyrażał przemyślenia dotyczące człowieka, malował cud przyrody nadbużańskiej, ukazywał swoją niezachwianą wiarę w Boga. Każdy niemal wiersz, jeśli nawet nie wprost, zawiera pochwałę – modlitwę – uwielbienie – natury i jej Stwórcy. Z niezwykłą docieklivością i precyzją przybliżał i oswajał w poezji i prozie nadbużańskie krajobrazy – przyrodę, wierzenia, zwyczaje i obyczaje. Tych, którzy go znali, uderza spójność poezji i życia Stefana Sidoruka. Zachowamy go w pamięci jako mądrego, dobrego, skromnego człowieka. Unikał rozgłosu, z zażenowaniem słuchał pochwał – sława przyszła sama. Trudno będzie przyzwyczać się do tej nieobecności. Jego odejście jest wielką stratą dla kultury regionalnej. „Kiedy odchodzi poeta, nowy żywot zaczynają jego wiersze”.

Cz. M.

Szerzej o twórczości i życiu Stefana Sidoruka pisaliśmy w numerze 3 czasopisma „Wschód”.

Maraton

Życie – to tylko wybór drogi,
prostej – choć nie głazem usłanej,
czy też okrężnej w dół spadającej,
polem sąsiada wydeptanej.
Na końcu drogi, gdzieś tam na mecie
Sędzia słów kilka z tobą zamieni;
dowiesz się jasno i sprawiedliwie
jak twój maraton ocenił.

Nie wiem

Zanim stałem się człowiekiem
drzewem byłem, zbożem rosłem,
może małą mrówką w trawie
na swój kopiec ciężar niosłem.
Może byłem kroplą deszczu,
może pszczołą, może tęczą
albo świerszczem za kominem
lub nosiłem sierść zajęczą.
Nie wiem. Lecz mnie wciąż przyroda wzywa
i z nią ciągle dyskurs toczę,
czy kiedyś, gdy stąd odejdę,
w coś się znowu przeistoczę?

Z wami tutaj pozostanę

Ja nie umrę tak jak inni
Do ostatka tak bez reszty
Lecz się zmieszam z letnim wiatrem
Co w przybrzeżnych trzcinach trzeszczy

Ja nie umrę tak do końca
Zimnym ciałem z lękiem w duszy
Lecz zostanę po kawałku
W trawce zbożu w sęku gruszy

Będę z wami w pieśni ludu
W leśnej ciszy w deszczu szumie
Będę w starej ojca kuźni
Na jarmarku w ludzi tłumie

W ciepłe dni babiego lata
Gdzieś za badyl się przyhaczę
Gdyż nie umrę tak jak inni
Niech więc po mnie nikt nie płacze

Od rzeki nagłą

Muszę już kończyć swa balladę,
na rzece czeka na mnie prom,
w drogę swą fajkę chciałbym zabrać -
wracam, lecz mijam własny dom.

I tek nawracam po killakroć
jak przy odlocie chory ptak,
fajka – to tylko lichy pretekst,
od rzeki nagłą, dają znak.

I byłbym chodził tak bez końca,
przesiedział odjazd gdzieś w ukryciu,
lecz to by tylko gorycz wzmogło,
przecież tak dużo wiem o życiu...



Bataliony w stadzie czajek

Zwierzęta z „Polskiej czerwonej księgi” na Polesiu

W związku z dużymi zmianami spowodowanymi w środowisku naturalnym przez człowieka wiele gatunków zwierząt na Ziemi stało się rzadkich, a niektóre z nich wyginęły. Naukowcy opracowali listy zagrożonych gatunków w celu pokazania sytuacji opinii publicznej. Najpełniejszym dostępnym opracowaniem opisującym zwierzęta narażone na wyginięcie w naszym kraju jest „Polska czerwona księga zwierząt”. Ostatnie wydanie pochodzi z 2001 roku. We wstępie tej publikacji czytamy: „w księdze tej opisano gatunki zwierząt występujące we współczesnych granicach państwa polskiego”. Oznaczono kategorie zagrożeń dla poszczególnych gatunków zwierząt: gatunki wymarłe w świecie – EXTINCT (EX), gatunki zanikłe w Polsce - EXTINCT IN POLAND – (EXP), gatunki skrajnie zagrożone – CRITICALLY ENDANGERED (CR), to gatunki silnie zagrożone – ENDANGERED (EN), gatunki narażone na wyginięcie – VULNERABLE (VU), gatunki niższego ryzyka, lecz

bliskie zagrożenia - NEAR THREATENED (NT), gatunki najmniejszej troski – LEAST CONCERN (LC). „Polska czerwona księga zwierząt. Kręgowce” jest pracą zbiorową wielu uznanych naukowców. Opisane są gatunki ssaków, ptaków, gadów, płazów, ryb i kręgloustych. Autorzy podają dla każdego gatunku oprócz nazwy status, pochodzenie, systematykę, rozmieszczenie z wykorzystaniem mapki Europy i Polski, siedlisko, nazwy siedliskowe, rozmnażanie, wielkość populacji wolno żyjącej, stan populacji w niewoli, dane historyczne, przyczynę wymierania, kierunek i prognozę zmian populacji, stosowane i proponowane sposoby ochrony. Obszarem o najwyższej formie ochrony na terenie Polesia lubelskiego jest Poleski Park Narodowy powstały 1 maja 1990 roku. Na terenie tego parku według monografii PPN autorstwa Tadeusza Grądziela, Elżbiety Kowalik i Andrzeja Różyckiego gatunkami stwierdzonymi w PPN ze zwierząt kręgowych z „Polskiej czerwonej księgi” są ssaki: nocek łydko włosy i wilk; ptaki lęgowe: bąk, bączek, podgorzałka, bielik, błotniak zbożowy, orlik krzykliwy, zielonka, cietrzew, batalion, dubelt, kulik wielki, łączak, rybitwa białoskrzydła, rybitwa białowąsa, puchacz, sowa błotna, dzięcioł biało grzbiety, podróżniczek, wodniczka, wąsatka; ptaki przelotne i zalatujące: ohar, świstun, rożeniec, kania czarna, kania ruda, gadożer, orlik grubodzioby, orzeł przedni, rybołów, pustuleczka, kobczyk, biegus zmienny, mewa mała, puszczyk mszarny (pojedyncza obserwacja w otulinie w 2004 roku), żońna, kraska; gady: żółw błotny i gniewosz plamisty; płazy: traszka grzebieniasta; ryby: różanka, strzebla błotna i piskorz. W Sobiborskim Parku Krajobrazowym stwierdzono lęgowe puszczyki mszarne i dzięcioły trójpalczaste. Część z wymienionych gatunków zwierząt podlega



Podgorzałki

ochronie strefowej. Są to: żółw błotny, gniewosz plamisty, bielik, orlik krzykliwy, cietrzew i puchacz. W przypadku gadów chronione są lęgowiska i siedliska tych zwierząt, a w przypadku żółwi w PPN jest to dodatkowo czynna ochrona polegająca na zabezpieczeniu zniesień jaj, a podczas wylęgu młodych żółwi i przetrzymaniu ich przez okres jesienno-zimowy, by wypuścić je powrotem do środowiska naturalnego w czerwcu następnego roku. Ptaki, takie jak: bielik, rybołów, orlik krzykliwy, gadożer, kania czarna oraz kilka innych gatunków niewymienionych w „Polskiej czerwonej księdze zwierząt. Kręgowce” podlegają ochronie strefowej polegającej na całkowitym zakazie wstępu i zaniechaniem wszelkich prac gospodarczych w promieniu 200 metrów od gniazda podczas całego roku, a 500 metrów podczas sezonu lęgowego. Inaczej przedstawia się sytuacja z cietrzewiem. W PPN dokonano restytucji tego gatunku i jest nadzieja, że ten ptak powrotem będzie nieodłącznym elementem ekosystemów bagiennych na Polesiu. W dzisiejszych czasach wzrosła znacznie świadomość społeczeństwa odnośnie bioróżnorodności. Nastąpił także znaczny postęp w poznaniu praw rządzących populacjami zwierząt. Dokładniejsze poznanie ekologii poszczególnych gatunków zwierząt pozwala zaplanować strategię ich ochrony. Ta ochrona nie może być bierna. Obecnie stosuje się różnorodne metody czynnej ochrony, takie jak: budowa sztucznych gniazd, zabezpieczanie miejsc lęgowych, a nawet przywracanie dawnego wyglądu siedliskom, gdzie zagrożone gatunki występują. Nie możemy na to patrzeć biernie, zatem zachęcam do włączenia się do różnych prac na rzecz środowiska naturalnego.

Włodzimierz Czeżyk

W tekście wykorzystano wiadomości pochodzące z następujących źródeł:

1. *Polska czerwona księga zwierząt. Kręgowce* Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne, Warszawa 2001.
2. Tadeusz Grądziel, Elżbieta Kowalik, Andrzej Różycki. *Poleski Park Narodowy*. Wydawca PPN, Urszulin 2008.
3. Janusz Wójciak, Waldemar Biaduń, Tomasz Buczek, Małgorzata Piotrowska. *Atlas ptaków lęgowych Lubelszczyzny*, Lubelskie Towarzystwo Ornitologiczne, Lublin 2005.

Rozmowa
z Tomaszem Zygmuntem
dyrektorem Instytutu Neofilologii
Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej
w Chełmie

Kieruje Pan jednym z największych Instytutów Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Chełmie.

- Rzeczywiście od ponad 10 lat jestem dyrektorem Instytutu Neofilologii, w ramach którego prowadzimy studia z zakresu filologii angielskiej, germańskiej, słowiańskiej, a także amerykanistyki oraz najmłodszego naszego naukowego dziecka - stosunków międzynarodowych.

Czy jest zainteresowanie pracodawców absolwentami Instytutu?

- Z tym nie ma większego problemu. Dobrze wykształcony filolog – bez względu na rodzaj ukończonych studiów – w zdecydowanej większości znajduje zatrudnienie. Duża ilość absolwentów ze względu na fakt, iż w trakcie kształcenia uzyskuje uprawnienia pedagogiczne przykładowo pracuje w szkolnictwie.

Nie wspomniał Pan nic o absolwentach kierunku stosunki międzynarodowe.

- Kierunek, o którym Pan wspomina istnieje u nas drugi rok. Dopiero więc za rok będą pierwsi dyplomani. Studenci tego kierunku mają do wyboru specjalności: międzynarodowy wymiar obsługi ruchu granicznego oraz międzynarodowy wymiar administracji i samorządu. Godnym podkreślenia jest fakt, że nie przygotowujemy absolwentów z zakresu polityki danej specjalności, ale prowadzimy konkretne kształcenie, dające szanse na podjęcie studiów lub pracy.

Panie dyrektorze dodałbym jeszcze, że jako państwowa uczelnia umożliwiacie studentom otrzymanie bardzo wiarygodnego i liczącego się na rynku dyplomu.

- Nie kwestionuję dyplomu żadnej uczelni, ale rzeczywiście jest tak jak Pan powiedział. Nasi studenci po obronie otrzymują dyplom uczelni państwowej.

Mówimy o Instytucie Neofilologii. Czy zdarzają się przypadki, że podejmują u was studia studenci z zagranicy?

- Oczywiście. Najbardziej oblegana jest amerykanistyka, na której studiuje spora grupa Ukraińców. Z przyjemnością mogę poinformować, że właśnie jeden z Ukraińców - absolwentów Instytutu kontynuuje studia w Kanadzie. Pragnę podkreślić, że troską uczelni jest dążenie, by dominującą grupę żaków stanowili Polacy. Takie rozwiązanie stwarza sytuację, że u nas Ukrainiec czuje, że jest na studiach w Polsce.

Co może Pan powiedzieć o kadrze?

- Same dobre słowa. Pracują u nas specjaliści z wielu dziedzin, wykładając równocześnie w Katolickim Uniwersytecie Jana Pawła II w Lublinie, Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, Uniwersytecie Przyrodniczo-Humanistycznym w Siedlcach, Narodowym Uniwersytecie Wołyńskim im. Łesi Ukrainki w Łucku.

Mam rozumieć, że student Pana Instytutu ma doskonałe warunki do kształcenia?

- To jest oczywiste. Pragnę jednocześnie dodać, że w Instytucie Neofilologii działają studenckie koła

naukowe. Prowadzimy coroczne wykłady otwarte dla uczniów szkół średnich i gimnazjów. Organizowane są różnego rodzaju wyjazdy na sympozja, konferencje, debaty, a co jest jedną z ważniejszych form umożliwiających zdobycie dodatkowej wiedzy – zapraszamy na wykłady czy spotkania przedstawicieli świata nauki z Polski i z zagranicy, polityków, dyplomatów. Są możliwości uczestniczenia w obozach naukowych, stażach krajowych i zagranicznych, wycieczkach. Nie bez znaczenia jest funkcjonująca w Instytucie stolówka i biblioteka, a także dwie duże aule – jedna na 300 a druga na 200 miejsc.

A pomoc materialna?

- Niczym nie różnimy się od innych uczelni państwowych. Student może otrzymać różnorodną pomoc w postaci stypendium, w tym stypendium socjalnego, naukowego, sportowego, fundowanego przez Marszałka Województwa Lubelskiego.

Proszę powiedzieć, czy studia dzienne są płatne?

- Mówiłem już, że jesteśmy częścią uczelni państwowej. Studia stacjonarne są więc bezpłatne.

Co ze studiami niestacjonarnymi?

- Prowadzimy również i taką formę kształcenia. Nie ma tu znaczenia rodzaj ukończonej szkoły średniej i rok, w którym kandydat na naszego studenta zdawał maturę, a co do odpłatności, podobnie jak we wszystkich uczelniach państwowych w Polsce, studia niestacjonarne są odpłatne, a zajęcia odbywają się w trakcie dwudniowych zjazdów (sobota i niedziela). W każdym przypadku kształcenie trwa trzy lata.

- Jak można zostać studentem kierowanego przez Pana Instytutu?

Należy zgłosić się do Działu Obsługi Studenta (dziekanatu), który mieści się w Chełmie przy ulicy Wojsławickiej 8b, tel. 82-564-20-80. Zainteresowanych odsyłam też na naszą stronę internetową : <http://www.pwsz.chelm.pl/?id=140>

Dziękuję za rozmowę.

Piotr Stępniewski



SMAKI POLESIA

SALATKA Z UDKA

(potrawa przygotowana i polecana przez
Koło Gospodyń Wiejskich w Żukowie)



Składniki:

udko wędzone z kurczaka
por
puszka kukurydzy
ser żółty (20 dag)
majonez
sól, pieprz

Sposób przygotowania:

Udko pokroić w kostkę, por pokroić w talarki, ser zetrzeć na tartce jarzynowej. Wszystkie składniki połączyć ze sobą, dodając majonez i przyprawy.

ROLADA Z ŻÓLTEGO SERA

(potrawa przygotowana i polecana przez
Koło Gospodyń Wiejskich w Żukowie)



Składniki:

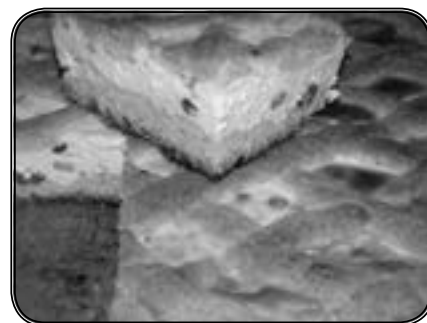
30 dag żółtego sera
25 dag pieczarek
2 jaja ugotowane na twardo
serek topiony ostry (100 g)
ogórek konserwowy
tłuszcz do smażenia
zielenina, pieprz, sól

Sposób przygotowania:

Pieczarki pokroić i podsmażyć na tłuszczu. Do zestawionego z ognia garnka z zagotowaną gorącą wodą włożyć na parę minut żółty ser. Ser włożyć do woreczka. Do pieczarek dodać serek topiony, podgrzewać, mieszając na lekkim ogniu, dodając posiekane jajka, pokrojony ogórek, zieleninę i przyprawy. Ser wyjąć z wody, rozwałkować na prostokątny placek, posmarować farszem, zrolować, owinąć w folię do żywności i włożyć do lodówki na co najmniej dwie godziny.

SERNIK Z ROSĄ SUSZEŃSKĄ

(potrawa przygotowana i polecana przez
Kolo Gospodyń Wiejskich w Susznie)



Składniki:

Ser:
1 kg wiejskiego sera
1 szklanka oleju
4 żółtka i 2 całe jaja
1 szklanka cukru
1 budyń śmietankowy
cukier waniliowy
2/3 szklanki mleka

Ciasto pod ser:

30 dag mąki i 10 dag cukru pudru
1 jajo i 2 żółtka
1,5 łyżeczki proszku do pieczenia
1 łyżka smalcu
10 dag margaryny
zapach waniliowy

Sposób przygotowania:

Ser przekręcić przez maszynkę. Budyń wymieszać z mlekiem. Jaja ubić z cukrem i wszystko wymieszać. Ciasto pod ser: Zagnieść ciasto i rozwałkować na blasze. Na surowe ciasto wlać masę serową i piec przez godzinę. Na opieczony ser wylać ubitą z 6 białek pianę z 1 szklanką cukru pudru. Dopiec 10 minut.

SMACZNEGO !!



Opracowała: *Renata Włostowska*

Potrawy Regionalne „Polesie w garnku” wydane przez Gminę Włodawa

WŁODAWSKIE W PRZEDEDNIU POWSTANIA STYCZNIOWEGO

Z pamiętników Bronisława Deskura
„Dla moich wnuków”
(Fragmenty)

II

W końcu 1860 r. w okręgu włodawskim województwa podlaskiego, w gronie członków Towarzystwa Rolniczego okręgowego, zawiązało się ściślejsze kółko z ludźmi, którym gorąco leżała na sercu sprawa narodowa, poczynająca wstępować w okres gorętszego działania, pchana naprzód przez młodzież patriotyczną, postępową, Warszawy i prowincji. Koło pomienione, w przewidywaniu potrzeby odpowiednich funduszków, powzięło myśl złożenia kapitału żelaznego w kole Towarzystwa Rolniczego naszego okręgu. Nie była to jednak rzecz łatwa do przeprowadzenia, bo większość jakkolwiek nieświadoma właściwego celu założenia kapitału żelaznego w przewidywaniu, że z czasem pieniądze te mogłyby być użyte na cele konspiracji powstańczej, truchlała na samą myśl, że może przyłożyć rękę do ruchu rewolucyjnego. Muszę tu powiedzieć, że jak dawniej, tak i tym razem możnowładztwo (magnateria) nasze rej prowadziło między drobniejszą szlachtą mniej zamożną, bo też większość skupiała się około kilku panów, należących do koła włodawskiego i szła za ich głosem, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, choć w gruncie braku patriotyzmu zarzucić jej nie można było.

Właściciel Rozwadówki we włodawskim, Teodor Jasieński¹, należący do szczupłego naszego grona, wielkich zdolności, a jeszcze większego serca i patriotyzmu młodzieniec, podjął się postawić wniosek założenia kapitału żelaznego na pierwszym zebraniu Koła Okręgowego Rolniczego i poprzeć odpowiednim przemówieniem. Jasieński potrafił umotywić tak swój wniosek, że ten został przyjęty. Na temże samym posiedzeniu złożono znaczną sumę i przyjęto obowiązek wnoszenia wkładek kwartalnych przez wszystkich członków koła, przy czym



B. Deskur

postanowiono, że większość członków koła zdecyduje w potrzebie o podniesieniu żelaznego kapitału. Pierwszy to był krok ważniejszy w robotach naszego szczupłego grona, do którego należeli: Krasuski (imienia nie pamiętam), właściciel Piesiowoli, starszy już wiekiem obywatel, Krasuski Rajmund², syn poprzedniego (rozstrzelany później w Radzynie), Teodor Jasieński, Kazimierz Bogdanowicz dzierżawca³ (rozstrzelany w Lublinie) i ja.

Towarzystwo Rolnicze z dniem każdym wraستاło w liczbę członków, bo każdy czuł to dobrze, że będzie ono powołanym później do rozwiązania najdrażliwszej kwestii, to jest uwłaszczenia włościan. Starano się więc o to, aby większość stowarzyszonych wywarła presję na możnowładztwo nasze, w kierunku przychylnym sprawie włościańskiej. Na 21 lutego 1861 r. naznaczono dzień zjazdu na walne zgromadzenie Towarzystwa Rolniczego.

W kółku młodych a gorętszych obywateli, posiadaczy większej własności, postanowiono w Warszawie, że wszyscy po powrocie do domów zposiedzeń Towarzystwa Rolniczego zwołamy gromady włościańskie i ogłosimy uwolnienie od pańszczyzny. Tak się też stało. 3 marca 1861 r. do zwołanego z mego majątku włościan przemówiłem jak potrafiłem najserdeczniej, mniej więcej w te słowa: „*Bracia kochani! Od dziś, panowie zebrani na zjazd w Warszawie jednozgodnie postanowili znieść pańszczyznę*

na zawsze, zwracamy wam na własność ziemię, którą posiadacie, a która się wam od dawna należy, pracę i trudem waszym zdobyta, że zaś sprawiedliwość nie została wam dotąd wymierzona, przyczyną tego jest rząd obcy, który do tego nie dopuszczał, a od którego dotąd wszystko zależało. Wielu z tych panów, którzy się ośmielili bez wiedzy rządu oddać włościanom grunta na własność, wywieziono na Sybir. Dziś wszystkich nie wywiozą, bo mieli sposobność zebrać i zgodzić się na równoczesne uwłaszczenie włościan, czy rząd zatwierdzi to postanowienie dziedziców lub nie, to zaręczyć wam mogę, że na pańszczyznę wołać was więcej nie będę, jeżeli potraficie bronić praw swoich i nie dopuścicie, aby się ktoś trzeci w nasze sprawy mieszał”.

Jakież było moje zdziwienie i żal, kiedy usłyszałem odpowiedź: „Proszę pana, nich lepiej będzie tak, jak było dotąd”. Nie chcąc okazać żalu mego, że ofiara i przemowa moja z taką nieufnością zostały przyjęte przez gromadę, usunąłem się z ganku, skąd mówiłem do włościan, nie mogąc więcej mówić dla wzruszenia, którego nie potrafiłem opanować. Dwa lata dopiero jakem nabył ten majątek, powiedziałem więc sobie, widocznie nie pozyskałem jeszcze zaufania tego ludu. Spozrzegli zapewne włościanie, kiedym odchodził, moje zalterowanie i wysłali wójta i dwóch innych z gromady, którzy przyszli mnie przeproszać, mówiąc: „*Niech się pan nie gniewają za to, co Iwan powiedział, bo to człowiekowi trudno uwierzyć tak zaraz, aby się znalazła taka dobra dusza, co by dla nas dobrze chciała; dotąd tylko krzywda nam się działa. Ot ja (powiada Wójt Bartosz Sołoń) niedawno temu, bo trzy lata, za rządcy, co tu był od pana Szlubowskiego, dawniejszego dziedzica, siedziałem w lochu pod tym magazynem, co przed oknami, dziesięć dni o chlebie i wodzie za to tylko, że mi się upomniał, że mi już trzeci raz potrącają z zarobku za parę wołów, które wziąłem ze dworu na odrobek, bom nie miał czym pańszczyzny sprzężajnej odrabiać. Jakże dziś mamy uwierzyć, że za darmo dostaniemy grunta, jakie posiadamy”.* Po dłuższej rozmowie pocziwy Bartosz uwierzył w szczerść słów moich i od dnia tego nikt więcej na pańszczyznę nie przychodził i nie był wołany. Najemnika miałem dostatek ze wsi własnej, swoją robotę rzucali i szli do dworu na zawołanie.

Przykład to jednak, jaką nieufność niejedni ze szlachty, bądź sam, bądź przez swych oficjalistów, rozbudzał u włościan swym postępowaniem. Czy w takich warunkach była możliwość zbliżenia się do ludu? Czuła to cała partia ruchu doskonale i była przygotowana zdobyć, choćby największą ofiarą,

uwłaszczenie włościan, a tym samym przełamać zapórę, która dzieliła lud od inteligencji w ogóle.

Jak u mnie, tak prawie na całym Podlasiu, do końca kwietnia 1861 r. pańszczyzna ustała nie tylko u tych, którzy się do tego zobowiązali w Warszawie, ale i w ogóle i u nieobecnych w Warszawie na zebraniu, a to pod presją opinii publicznej. Wszelkie dalsze układy z włościanami zostały w zawieszeniu (była bowiem mowa o przejściu przez oczynszowanie własności, na co się zgodzono, a do czego rząd sam się skłaniał).

To samo mniej więcej działo się i w innych województwach, co i u nas na Podlasiu.

Mieczysław Tokarski

Przypisy:

¹Teodor Jasiński – w licznych pracach występuje mylnie jako Jasiński, wraz z bratem Ignacym, inwalidą, aktywni działacze konspiracji. Teodor pełnił przez krótki okres funkcję naczelnika cywilnego woj. Podlaskiego a pod koniec 1862 r. stał około miesiąca na czele Komitetu woj. Podlaskiego. Obydwaj bracia weszli następnie do oddziału Lelewela-Borelowskiego i po klęsce pod Panasówką przeszli do Galicji

²Rajmund Krasuski – jego nazwisko najprawdopodobniej brzmi: Krassowski, po wybuchu powstania wszedł do jednego z oddziałów, lecz wkrótce aresztowany i skazany wraz z Drewnowskim na śmierć, zginął mając lat 30.

³Kazimierz Bogdanowicz (1833-1863) z Nadrybia, dzierżawca Łowczy pod Chełmem, naczelnik cywilny powiatu krasnostawskiego, dowódca oddziału, poniósł klęskę k. Małych Rudek (17 II 1863), dostał się do niewoli pod Zezulinem ok. 26 II 1863 r., został rozstrzelany w Lublinie ok. 6 III 1863 r. („Czas” nr 63 podaje, że 7 III a nr 67, że 12 III).

Od redakcji:

W kolejnych dwóch numerach zaprezentujemy kolejne fragmenty pamiętników Bronisława Deskura.

Legendy Różanieckie - pałacowe lochy

W ponad pięćsetletniej historii Różanki powstało wiele dokumentów pisanych, map, rejestrów, obrazów. Ale narosło też bardzo wiele legend, przekazywanych z pokolenia na pokolenie, przy tym raz rozbudowywanych i upiększanych, a innym razem okraszanych grozą i przerażeniem.

Od wielu lat ogromną ciekawość wśród okolicznych mieszkańców budzi historia mających ciągnąć się kilometrami podziemnych korytarzy. Korytarzy, które swój początek mają w przepastnych lochach pałacowych. Tych zaś było po cztery na dwóch poziomach. Górny poziom do którego „... najprzód z izby szeldwachowej, czyli przedsiionka, drzwi ordynaryjne na zawiasach, z klamką żelaznemi, otwierające się do miejsca, z którego wąskie i ciemne schody są aż pod sam dach. Z tego miejsca do lochów pierwszych są schody, z których zszedłszy loch pierwszy, obszerny. Drzwi na zawiasach z zaszczepką żelazną. Podle tego lochu drugi. Drzwi na zawiasach z zamkiem... z kratami żelaznymi dwie. Na drugim boku od Buga, dwie takoweż. Ten loch podłóg szerokości pałacu. Z tego trzeci loch. Drzwi na zawiasach... z tego czwarty loch. Mały, drzwi nie masz, tylko miejsce okien dwie z kratami żelaznemi...” Poniżej tych lochów lochy dolne, a „...wszedłszy z opisanych lochów górnych na prawą stronę, są schody niżej do lochów dolnych. Nad temi schodami, w murze jest kruców żelaznych cztery do poręczów. Z których zszedłszy jest miejsca dosyć na składanie beczek próżnych i tamże w górze okien dwie perspektywą idących do pierwszych okien, od wyższych lochów. Z tego lochu na boku tajemny loch drugi...” Z tej gmatwaniny odchodzić mają korytarze na istnienie, których dużą wagę dowodową, aczkolwiek mało precyzyjną, ma zapis Adama Czartoryskiego o „...rozciągających się różnych kombinacjach lochów”. Mały książe dzieciństwo spędził w różanieckim pałacu. W życiu dorosłym także był



Pałac w Różance (fot. z archiwum T. Sawickiego)

w Różance. Intrygowały go z pewnością tajemnice lochów. A ich tajemniczość polegała na tym, że nikt tak do końca nie wiedział dokąd one biegną i jakiemu celowi służą. W tej niewiedzy lochy obrastały historią budowaną raz dla podkreślenia umiejętności budowniczych, innym zaś dla ukazania przepychu i majątności właścicieli Różanki. Wielkie swą liczebnością oczy wyobraźni rysowały trasę przebiegu podziemnych korytarzy. Raz biegły one do sąsiednich zabudowań, a kiedy indziej do sąsiednich folwarków, by wreszcie obrać kierunek ku oddalonej o sześć kilometrów Włodawie i tam w posiadłościach Sanguszków zakończyć swój bieg. Wzmocnione grubym kamienno-ceglanym murem nie poddały się niszczącym czynnikom klimatycznym ani też zagrożeniom współcześnie prowadzonych działań inwestycyjnych. Wielu było śmiazków, którzy uzbrojeni w świecę i kłębek sznurka próbowali zgłębić tajemnicę lochów. Ale wyprawy takie, przygotowywane w największej skrytości przed dorosłymi, a często i przed kolegami, zazwyczaj kończyły się już po kilkudziesięciu krokach paniczną ucieczką z duszą na ramieniu. A to dlatego, że jednym razem jakieś siły nieczyste zgasiły świecę, innym zaś nietoperz, który wydawał się większym od orła trzepotem

swych ogromnych skrzydeł wystraszył śmiałków wybijając im z głowy chęć zgłębiania tajemnic. Tak więc dotychczas nikomu nie udało się rozwikłać zagadki związanej z różanieckimi lochami, które dalej obrastają legendą. Ostatnia wyprawa, której wielkim wyzwaniem było zarówno poznanie trasy przebiegu lochów, jak i wizualne zinventaryzowanie wnętrza zakończyło się po wykonaniu kilku zdjęć i przedniej marki aparat fotograficznym odmówił posłuszeństwa. Coś w tych lochach chyba jednak jest.

Tadeusz Sawicki



Tylna elewacja pałacu w Rudce (wygląd współczesny)

Jak carski generał podlaskich chłopów klasowo uświadamiał...

Propaganda administracji carskiej a świadomość polskiego chłopstwa w okresie powstania styczniowego

W pierwszych tygodniach powstania styczniowego generał-lejtnant Zachary Stiepanowicz Maniukin konsekwentnie, acz z interwałowym opóźnieniem, podążał ze swoim wojskiem za powstańczym oddziałem Władysława Chichorskiego „Zameczka”. Rankiem 30 stycznia oddział „Zameczka” zaatakował kozaków stacjonujących w Rudce, która była wówczas własnością hrabiostwa Potockich. Podczas potyczki powstańcy zabili trzech Rosjan, w tym dowodzącego nimi oficera, który okazał się bliskim krewnym Maniukina, oraz zranili czterech żołnierzy, a do niewoli pojмали sześciu. Reszta kozaków zbiegła dzięki przymuszonym przez nich do pomocy okolicznym chłopom. Nazajutrz powstańcy spalili dokumenty znajdujące się w gminnej kancelarii i opuścili wieś.

Dwa dni później do Rudki przybył generał Maniukin, na czele sił carskich liczących półtora

tysiąca ludzi. Wojska rosyjskie składały się z siedmiu kompanii piechoty i sotni kozaków. Miały do dyspozycji również cztery działa. Prowadzeni przez Maniukina żołnierze byli w większości świeżo wcielonymi rekrutami. Dowódcę poinformowano, że kozacy zginęli wskutek zdradzieckiego podstępu Polaków, którzy zwabili ich do bani (łaźni parowej) i tam poderżnęli im gardła „jako niewinnym barankom”, a następnie obcięli im głowy. Maniukin uwierzył w ten fałszywy obraz wydarzeń, a winą za śmierć carskich żołnierzy obarczył właścicielkę Rudki hrabinę Wandę z Ossolińskich Potocką (po pierwszym mężu Jabłonowska). Zdecydował o spaleniu wsi i hrabiowskiego pałacu, po uprzednim wydaniu ich na pastwę swoich nieokrzesanych żołnierzy. Jednakże po zasięgnięciu informacji od jednego z rannych kozaków, których nota bene troskliwie pielęgnowała Potocka w swoim pałacu, generał poznał prawdziwą wersję wydarzeń, a mianowicie dowiedział się, że kozacy stoczyli regularną potyczkę z wojskami powstańczymi, zgodnie z regułami wojny.

Maniukin niechętnie odstąpił od swego pierwotnego zamiaru. Oszczędził jednak pałac i wieś, lecz nie zrezygnował do końca z represji. Zwołał wszystkich chłopów i wypytywał ich o powstańców oraz o pomagających im miejscowych. Jednak żaden z włościan nie „puścił pary z gęby” i wszyscy gotowi byli przysięgać, że o niczym co ma związek z bitką nie wiedzą. Wtedy generał odprawił wszystkich związanych z „państwem” i wskazując na pałac, wieś i okoliczne pola, rzekł do zebranych: *„To wszystko będzie wasze. Już dawno car darował wam wszystko. Panowie tylko we wszystkim stoją wam na przeszkodzie. Dlatego to oni buntują się na cara, że głównym*



Front pałacu w Rudce (wygląd współczesny)

cara życzeniem jest zamiar uszczęśliwienia was. [...] Panowie waszymi są wrogami, chociaż wy jeszcze o tem dobrze nie wiecie. Gdy panów nie będzie, będziecie szczęśliwi!”

Podlascy włościanie dotychczas słyszeli takie słowa jedynie szeptane w konfidencyjnych dialogach z carskimi agentami. Teraz publicznie i oficjalnie wypowiedział je carski dygnitarz. Nie zrobiło to jednak większego wrażenia na chłopach. Wieki poddaństwa i religijnego wychowania, opartego na przekonaniu, że wszelka władza pochodzi od Boga, wykształciły w nich mechanizmy lojalności „panom”. Włościanie pozostali niewzruszeni, a „żarliwa mowa i żarliwe zabiegi pana jenerała pozostały bez wszelkich złych dla obywateli następstw”.

Po zakończeniu przemowy Maniukina chłopci komentowali jego słowa następująco: „Gadał, bo tak chciał gadać. [...] Mówił, że nam zawadzają panowie. [...] A chociażby i nie było tych panów, to ludzi będą inni, [...] a przecież lepsi swoi”. Ot, chłopski rozum... Jednakże mimo takich wniosków, od tego momentu rudkowscy włościanie zaprzestali odrabiać pańszczyznę, składać daniny i płacić czynsze. To z kolei posłużyło władzom carskim za pretekst do – przejawiających się głównie egzekucjami

majątkowymi, ale także np. chłostą – represji klasy chłopskiej, przeprowadzanych na wniosek polskiej szlachty. Miało to oczywiście na celu pogłębienie przepaści pomiędzy ludem a wyższymi warstwami polskiego narodu.

Za opór chłopów przed wykonywaniem ich powinności, a także udział niektórych z nich w powstaniu styczniowym, władze carskie zesłały na Syberię kilkadziesiąt osób z dóbr rudzkich. W związku z buntem w 1865 roku zlikwidowały również rudzką gminę, której obszar włączono do gminy Grodzisk. Natomiast chłopów z Rudki uwłaszczone.

Podczas pobytu wojsk Maniukina w Rudce, on sam wraz z oficerami kwaterował w pałacu Potockich. Natomiast jego żołnierze doszczętnie obrabowali wieś ze wszelkich wartościowych przedmiotów oraz zapasów żywności (w tym żywe bydło i trzodę) oraz karmy dla koni; zaś wszystko to, czego nie mogli zabrać – zniszczyli. Ponadto Maniukin nakazał zarządcy majątku – Konstantemu Potockiemu (zięciowi hrabiny, mężowi jej córki Joanny) wystawienie pokwitowania na piętnaście tysięcy rubli w srebrze, które jakoby generał miał wypłacić za zapasy dla wojska i koni. Oczywiście suma ta pozostała wyimaginowaną. Rosjanie pod dowództwem

Maniukina ruszyli śladem powstańców. Oddział „Zameczka” zmierzał już wówczas w kierunku Siemiatycz, gdzie miało dojść do jednej z największych bitew powstania styczniowego, a zarazem do konfrontacji dwóch dowódców – pułkownika Cichorskiego „Zameczka” i generała Maniukina...

Ernest Szum

Źródła:

F. W. Czaplicki, „Moskiewskie na Litwie rządy 1863–1869”, Kraków 1869.

S. Góra, „Partyzantka na Podlasiu 1863–1864”, Warszawa 1976.

Z. Romaniuk, „Rudka. Dzieje majątku, wsi i parafii”, Rudka 2002.

Trzydniowa Majówka w kajaku na Polesiu Włodawskim

„Dzień Bobry!”

Tradycyjnie już od pięciu lat w dniach od 1 do 3 maja na wodach Polesia Włodawskiego spotkali się kajakarze wytrawni i nowicjusze, aby uczestniczyć w trzydniowej „Majówce w kajaku na Polesiu”. Rzeki Włodawka, Bug oraz Tarasienka zaroily się wielobarwnymi kajakami, a w nich płynęli kajakarze m.in. z Włodawy, Lublina, Krakowa, Warszawy, Płocka, a nawet ze Śląska. Pogoda i humory dopisały. Już na starcie organizatorzy „trzydniówki”, czyli Zarząd Oddziału PTTK we Włodawie na czele z prezesem Mieczysławem Tokarskim, znanym przewodnikiem i działaczem turystycznym udekorowali uczestników spływu dowcipną odznaką z wizerunkiem bobra witanego słowami „Dzień Bobry!” To nie



Odznaka „Dzień Bobry”

przypadek, gdyż na tutejszych rzekach zadomowiły się bobry, a ich żeremie spowodowały, że na odcinku Włodawki między Kołaczami a Suchawą trzeba było przenosić kajaki przez zapory. Nikt się nie dziwił ani nie narzekał, wszak majówka miała też hasło „Wiosenny Spływ Kajakowy Powitanie Bobrów 2012”.

Tajemniczy i pierwotny w swym naturalnym stanie przyrody leśno-bagienny odcinek Włodawki od Suchawy do Adamek (wygodne pole biwakowe) dostarczył uczestnikom spływu nie lada atrakcji. Co rusz zaskakujące obrazy dzikiej roślinności, podmokłego lasu olchowo-brzozowego, licznych kwitnących roślin i krzewów czeremchy (białe płatki jej kwiatów wręcz ścieliły się na czarnym od bagiennego dna lustrze wody) – to tylko niektóre atrakcje tego szlaku. Były też emocje przepływania pod zwalonymi pniami drzew, przez szypoty i bystrza szczególnie obecne w okolicach śluz, mostów i kładek. Dosyć wartki nurt wody zdecydowanie ułatwiał wiosłowanie i pokonywanie przeszkód. Sprawnie i bezpiecznie spływy prowadzi komandor Józef Tworek, który kajakarstwo uprawia od 50 lat jest instruktorem kajakarstwa, posiadaczem Złotej Odznaki Kajakowej PTTK oraz odznaki Polskiego Związku Kajakowego w stopniu „Złoty na Wiośle”.

Trzy Polesia

Wydana niedawno przez Starostwo Powiatowe we Włodawie, bogato ilustrowana książka zatytułowana „Trzy Polesia” przypomina, że Polesie wprawdzie jest jedno, ale znajduje się w granicach trzech państw: Polski (Polesie Lubelskie), Ukrainy (Polesie Woły-



Dzięciotowie i Michalscy na rodzinnym spływie

ńskie) i Białorusi (Polesie Brzesko-Pińskie). Uczestnicy „Majówki na Polesiu”, którzy nie jedną rzekę już przepłynęli, wspominali także swoje wyprawy m.in. po Prypeci. Pierwszy lubelski spływ po Prypeci (Polesie Wołyńskie) zorganizował w maju 2006 roku Janusz Michalski, autor książki „Wodami Polski, Litwy i Ukrainy” (2007). Każdy kajakarz chciałby siebie zobaczyć na magicznej Prypeci, słusznie nazywanej Amazonką Europy Środkowo-Wschodniej. Przy ogniskach kończących włodawską „Majówkę w kajaku na Polesiu”, redaktor miejscowego kwartalnika społeczno-kulturalnego „Wschód”, Aldon Dzięcioł, także wodniak i wicekomandor Klubu Żeglarskiego „Bryza” we Włodawie przedstawił koncepcję organizowania spływów poleskich w wymiarze międzynarodowym, w ramach transgranicznej współpracy gospodarczej, kulturalnej i turystycznej Euroregionu Bug.

Pomysł Aldona Dzięcioła został szczegółowo przedyskutowany i przyjęty z entuzjazmem. Przyjęto wniosek utworzenia przy Wojewódzkim Oddziale PTTK w Lublinie komisję, która zajęłaby się zsynchronizowaniem dotychczasowych spontanicznie organizowanych spływów poleskich. Podkreślano konieczność nawiązania partnerskich kontaktów z kajakarzami ukraińskimi i białoruskimi. Zadeklarowano gotowość organizowania międzynarodowych spływów poleskich w Polsce (choćby po rzece Bug). Rzecz jak zwykle jest w gestii odpowiednich instytucji, sponsorów i entuzjastów pomysłu, a tych nie brakuje, przynajmniej w Polsce. Poleska majówka we Włodawie okazała się imprezą nie tylko przyjemną, ale także inspirującą do kolejnych podobnych przedsięwzięć w wymiarze międzynarodowym.

Poleska Odznaka Kajakowa imieniem Janusza Michalskiego

Włodawski Powiatowy Oddział PTTK bardzo perspektywicznie i racjonalnie widzi swoją obecność na wodach Polesia. Przede wszystkim jest już prawie gotowa publikacja zbiorowego autorstwa (Aldon Dzięcioł, Antoni Kobielaś, Waldemar Michalski, Mieczysław Tokarski i Józef Tworek) pod wstępnym roboczym tytułem „Majówka w kajaku na Polesiu”. Będzie to rodzaj informatora i przewodnika dla kajakarzy pływających po wodach Polesia. Patronem kajakarzy włodawskich, ich planów i poczynań został jednymyślnie wybrany Janusz Michalski – entuzjasta kajakarstwa, który pozostawił po sobie liczne przetarte szlaki na wodach Polski, Litwy i Ukrainy. Miłym zaskoczeniem dla uczestników włodawskich spływów było wręczenie im „Książeczek Poleskiej Odznaki Kajakowej im. Janusza Michalskiego” (do odnotowania spływów i gromadzenia punktów niezbędnych do otrzymania honorowej odznaki - brązowej, srebrnej i złotej).



odznaka im. J. Michalskiego

Jednak wydarzeniem na miarę krajową było uhonorowanie najbardziej wytrawnych kajakarzy już tą odznaką. Jednymi z pierwszych odznaczonych zostali Stefania i Waldemar Michalscy – kajakarze z tradycją pływania po Prypeci i Dniestrze. To rodzice Janusza Michalskiego, który odszedł przedwcześnie (2006), ale pozostawił po sobie piękną pamięć entuzjasty kajakowego pływania, a przede wszystkim zaszczyił pasję kajakarstwa u wielu ludzi różnych pokoleń. Jego hasło „Z kajaka świat jest piękniejszy!” było także doświadczane w ramach organizowanych we Włodawie „Majówek w kajaku na Polesiu”.

Wacław Wołyński

Upalny Dzień

Planowana od dawna, ale na skutek różnorakich przeciwności odkładana wyprawa wędkarska została wreszcie zrealizowana. Tym razem Grzegorz postanowił spróbować szczęścia od północnej strony jeziora, którego brzegi porastał długi pas trzciny i rozciągające się szeroko połacie kwitnącego grzybienia. Nierozpoznana dotychczas część akwenu przyciągała tajemniczością położenia. W wyobraźni widział ławice ogromnych karpia, linów, krasnopiór chętnych do połykania chytrze podsuniętej przynęty.

Po uciążliwej marszrucie, omijając zdradzieckie dziury wypełnione czarną cuchnącą mazią, dotarł na miejsce. Grząski brzeg zarośnięty zwartą ścianą oczeretów, uniemożliwiał dostęp do wody. Tłumiąc wzbierającą złość, wypatrywał jakiegokolwiek dojścia. Z trudem włókł się po nasiąkniętym wodą gruncie z nadzieją, że wreszcie znajdzie dogodne przejście do czystego lustra wody. Niebawem zarośla ustąpiły i znalazł się na rozległym, pokrytym trawą wzniesieniu, przypominającym pastwisko.

Szerokim łukiem ominął rozdeptane racicami błotniste miejsce, wbijające się tępym klinem w płytką zatoczkę. Pozostawione przez bydło ślady świadczyły, że jest to jedyne możliwe dojście do wodopoju. Nieco dalej zauważył prowizoryczną, zagłębiającą się w trzciny kładkę.

Odetchnął. Licho sklecona konstrukcja przypominała spotykane przy brzegach stanowiska wędkarskie. Kilka pierwszych, ostrożnie postawionych kroków wzbudziło obawy. Prymitywny, mający liczne ubytki mostek, składający się z dwu równoległe do siebie położonych desek nie gwarantował bezpieczeństwa, toteż Grzegorz przezornie rozebrał się do kąpielówek. Starannie ułożył swoje rzeczy na trawie i zabierając z sobą tylko wędkę ruszył po rozchwierutanych, oślizgłych deskach. Starał się nie patrzeć na gruby, leniwie falujący kozuch rdzawo-żółtej piany.

Z trudem dotarł do końca kładki, by przekonać się, że cały wysiłek poszedł na marne. Właściwy pomost był zatopiony, tylko resztki szerniały od wilgoci desek, wystających ponad powierzchnię wody świadczyły o jego istnieniu. O rezygnacji i wycofaniu się z tego miejsca nie było mowy.

Dotarcie do znajomych łowisk zabrałoby zbyt dużo cennego czasu. Przesunął się o kilka kroków do przodu tak, by móc utrzymać postawę stojącą.

Wprawnym okiem ocenił łowisko. Bliskość trzciny, dość spore oko czystej wody w sąsiedztwie żółto kwitnących grążeli i osoki, wyglądało obiecująco. Zanim rozpoczął właściwy połów obejrzał się, by ocenić, w jakim stopniu ma wgląd na pozostawione na brzegu rzeczy. Zadowolony z tego, że widoczne jest miejsce, w którym pozostawił plecak i ubranie, z właściwym sobie spokojem wymierzył grunt i zarzucił wędkę. Obserwował najbliższe otoczenie i bardzo czułe, sporządzone z kolców jeżozwierzka spławiki. Najgorsze było to, że poruszone przedzieraniem się trzciny obudziły ukryte w nich owady. Zapach potu przywabił komary, które ścigały z najmniejszych zakamarków.

– Cholera! krzyknął Grzegorz i dłonią trzepnął po gołych barkach, przepędzając olbrzymiego bąka. Nie na długo. Jego nieopaloną, wilgotną od potu skórą zainteresował się wielki bydlęcy giez. Nie zważając na wymachiwanie rąk, próbował podejść ofiarę z najrozmaitszych stron. Zrozpaczony Grzegorz przeniósł całą uwagę na opędzanie się od nachalnego owada. Skrzydlaty intruz celnie trafiony dłonią wreszcie odleciał.

Gwałtowne uniki i ruchy całego ciała spowodowały, że cała licha konstrukcja pomostu zaczęła osuwać się w muł. Przegniłe resztki desek coraz bardziej pogryzały się w toni. Chłodna woda sięgała do łudek, co było dosyć przyjemne, zwłaszcza, że panował niezwykły upał. Upłynęła jedna godzina i nic się nie działo. Ryby nie interesowały się ani ruchliwym czerwonym robaczkiem, ani też ziarnkiem parowanej pszenicy. W momencie, gdy Grzegorz przenosił ciężar ciała z lewej na prawą nogę poczuł cios pod łopatkę. Było to tak bolesne i niespodziewane, że mimo wielkiej ostrożności stracił równowagę i zwałił się do wody, obcierając do krwi prawy bok. Stopy zagłębiały się w muliste dno, od którego wydostawały się na powierzchnię olbrzymie bąble smrodliwego powietrza. Obejrzał boleśnie piekące miejsce, stwierdzając szerokie otarcie, skąd sączyła się krew.

– Trzeba się stąd wydostać – szepnął Grzegorz i chwycił sterczący pionowo kołek. Z trudem wygramolił się na zdemolowany pomost. Zatraskany o poranione ciało, zabrudzonymi czarnozieloną mazią dłońmi, badał stłuczone żebra. Z zadowoleniem stwierdził, że nie doznały pęknięcia. Ku swemu niezadowoleniu usłyszał donośne bzyczenie. Z lękiem obserwował trzy



nadlatujące gzy. Przelatywały jak pociski szybko strzeżonego karabinu to z jednej, to z drugiej strony. Zwijając sprzęt postanowił opuścić niegościnne miejsce.

Wzdłuż brzegu niósł się i narastał jakiś nieokreślony zgiełk. Gdy uniósł głowę zauważył, że całą przestrzeń pastwiska zajmowało wielkie stado krów. Część wędrowała w poszukiwaniu smakowitej trawy, część zadawała się tym, na co natrafiła. Pieczę nad tą chmarą sprawował siwy mężczyzna w wielkich przeciwsłonecznych okularach. Towarzyszący mu kundelek piskliwym ujadaniem zaprowadzał w beztrojskim ociężałym stadzie, jaki taki porządek.

– Cholera! – wykrzyknął Grzegorz. Nie wierzył oczom. W jego rzeczach pasła się krowa. Obojętna na pokrzykiwania i pogrożki uniosła w pysku część odzienia. Poznał zwisające nogawki swoich spodni. Zaczął wzywać na pomoc pastucha, jednak ten zbyt oddalony od tego miejsca, niczego nie słyszał.

Grzegorz gwałtownie ruszył z miejsca, zapominając o ostrożności, co przyplącił kolejnym upadkiem do skisłej wody. Zranił przy tym kolano i łokieć. Pokonując obrzydzenie do kożucha falującej piany, brnął łgnąc stopami w oślizgłym mule.

Oblepiony szaroseledynową pianą i wodorostami z trudem wy dostał się na trawiasty brzeg. Kilka metrów przed sobą miał olbrzymią krasulę, która z najwyższym dostojeństwem połykała jego dolne odzienie. Krzyknął coś w rozpacz, ciskając w kierunku bydłęcia połamaną podczas upadku odległościówką.

Nagle pojawienie się dziwacznie wyglądającego stwora, w dodatku miotającego kijami, wywołało w zwierzęciu strach. W odruchu samobrony krowa odskoczyła niezdarnie w bok, zatopiła głębokie spojrzenie w oczach zrozpaczonego człowieka i lekkim truchtem zaczęła się oddalać. Grzegorz popędził za nią. To tylko dodało animuszu sennemu na ogół stworzeniu i zaczęły się wyścigi.

Na dobre przestraszone zwierzę ruszyło do galopu, rozbryzgując na boki placki świeżego łajna.

Ścigana krowa wpadła w środek pasącego się stada, wywołując panikę. Spokojnie dotychczas pasące się bydło ruszyło do galopu. Gnało dokądś na oślep z wyciągniętymi poziomo ogonami, porykując od czasu do czasu. Do akcji włączył się żwawy piesek ze swoim piskliwym ujadaniem. Tylko pastuch zdjął z nosa wielkie przeciwsłoneczne okulary, przetarł szkła i ze spokojem obserwował rzadko oglądane rodeo.

Krowy ginęły za wzniesieniem, gdzie zapewne znajdowała się wieś, a Grzegorz z wielką determinacją próbował odstraszyć nieustępliwego kundelka, który upatrywał sobie jego śnieżnobiałe łydki.

Czekał go przecież powrót do domu w mieście i o tym tylko myślał.

Jerzy B. Sprawka

Mistrz Ryszard Żuchowski w felietonie o Bon Tonie

Uśmiech na ustach

Rolę uśmiechu, jego znaczenie w stosunkach międzyludzkich, a w szczególności handlowych, najbardziej doceniają ludzie wschodu, którzy przyjęli zasadę, że na wszelki wypadek trzeba uśmiechać się na okrągło, nawet wtedy, kiedy się śpi. Miłośnicy leharowskiej operetki „Kraina uśmiechu” na pewno pamiętają najpiękniejszą arię z tego przedstawienia zaczynającą się od słów: „*uśmiech na ustach, gdy w sercu jest ból, to najtrudniejsza z życiowych jest ról*”. Słowa te są mottem życiowym bohatera, naturalnie Japończyka, bo rzecz dzieje się w Kraju Kwitnącej Wiśni. Na ten radosny uśmiech całego naszego społeczeństwa liczyłem wtedy, kiedy byliśmy blisko drugiej Japonii. Niestety jak wiemy, nic z tego nie wyszło, ale miałem nadzieję, że pozostanie nam z tych marzeń chociaż japoński zwyczaj pięknego uśmiechania się, bo uśmiech przecież nic nie kosztuje, nie wymaga rekonstruowania gospodarki ani nowych inwestycji.



szkic - Piotr Głogowski

Jesteśmy bardzo skąpi w obdarowywaniu bliźnich uśmiechem, a przecież jest on znakiem ponadkulturowym, a więc przydatnym na całym świecie, a do tego czytelnym znakiem dla wszystkich ludzi bez względu na rasę, pochodzenie czy wykształcenie. Sugeruje, że wszystko jest w najlepszym porządku, mamy przyjazne zamiary i dobrą wolę. Uśmiech jest spoiwem integrującym ludzi i dającym poczucie bezpieczeństwa, pozytywnie nastawiającym do nas otoczenie. Jest to szczególnie istotne dla kogoś, kto wchodzi do nowego środowiska. Iluż to młodych ludzi nie otrzymało wymarzonej pracy tylko dlatego, że idąc na rozmowę kwalifikacyjną zostawili uśmiech w domu. Trudno bowiem wyobrazić sobie szefa instytucji, który by nie zwrócił uwagi na uśmiech nowo przyjmowanego pracownika. Nie sądzę, żeby ktoś wolał raczej pracować z ponurakami niż z ludźmi, którzy darzą otoczenie uśmiechem. Nie należy zapominać, że uśmiech jest obowiązującym atrybutem człowieka dobrze wychowanego, bez względu na to czy jest szefem, pracownikiem, czy tylko petentem. Uśmiechający się dyrektor prowokuje do podobnych zachowań również swoich współpracowników, urzędnik może uśmiechem złagodzić przykrość odmowy załatwienia jakiejś sprawy, profesor niezbyt dobrą notę na egzaminie, policjant obowiązek wymierzenia mandatu.

Uśmiech, naturalnie, powinien być szczerzy, wypływający z pozytywnego nastawienia do życia i ludzi. Nawet kiedy trzeba uśmiechać się zawodowo, należy czynić to z sympatią, a nie sztucznie, z przymusu,

bo nie ma nic bardziej przykrego, jak brak szczerości, który pozostawia z uśmiechu tylko grymas.

Są zawody, które uśmiech mają wpisane w zakres codziennych obowiązków. Do nich należy cała armia sprzedawców sklepowych, z którymi spotykamy się każdego dnia, lecz nie zawsze mamy szczęście obdarowanymi sympatycznym „proszę”, połączonym z promiennym uśmiechem. Mój kolega, kiedy trafia na ponurą ekspedientkę, pytającą obojętnie: „co jeszcze?”, niezmiennie odpowiada „resztę i uśmiech. Uśmiech za darmo!” O dziwo, zawsze pomaga i ciąg dalszy obsługiwanie przebiega już w innym nastroju.

Dzisiaj, kiedy tak wiele zależy od pozytywnego nastawienia człowieka do człowieka, wypowiedzanie samych grzecznościowych formułek już nie wystarcza. Do każdego „proszę, dziękuję, przepraszam” jest konieczne dodanie uśmiechu.

Jeden z wielkich myślicieli XX wieku powiedział: „Darząc uśmiechem, uszczęśliwiasz serce.”

Nie bądźmy więc skąpi, bo dar uśmiechu przecież nic nie kosztuje!

R. Ż

Z notatnika Nadbużańskiego aforyty i satyryka

Dzięcioliki limeryki

Wdowa po pewnym bednarzu
z Bednarzówki,
co to od wódki miał żywot krótki,
do Przytoczna poszła za wdowca
i znów była na... manowcach.

Inaczej mówiąc „z deszczu
pod rynną trafiła” – bo i ten
z brzuszyskiem rozchełstanym
przytaczał się późno.

Ot, taki los!

Z ochlaptusami żyje się trudno!

Pewna czarnulka Julka
ze wsi Mościska,
choć w chłopakach
namiętności wzbudzała,
teraz rozpaczy bliska.
Ciotka ją napominała,
by kolana mocno ścisnęła...
Sam ojciec baczył aby
po zabawie w Mościskach
nikt za bardzo jej nie ścisnął.
Matusz też się o nią bał.
Teraz jej już nie pilnują,
bo leciwą panną została!
Zaś stareńka babulka
wie swoje, czemuż to
jej wnusia Julka,
została samiutka:
bo tu, na urok tfu! tfu!
- ciągle czarny kot
drogę przebiega nagle,
albo co i rusz się wlecze,
czortem omotana sąsiadka
z pustym wiadrem?!

Fraszki i aforyzmy

Żcie to nie bal
rozradowanych par,
a zwyczajne noce i dnie
gdzie jedni, radzi wysoko,
drudzy zaś, na dnie!

O barwnym życiu
młodzi marzą.
A potem i tak
w ciepłe ciapy
i domowe pielesze włożą!

Wzgardę budzi
obrzydliwa cecha
miernych ludzi-
nic nie robiąc,
potrafią przeciw innym ludzi!

Lubart

Miejsca pamięci w powiecie radzyńskim

W ostatnich latach obserwujemy wzrost zainteresowania przeszłością, historią lokalną także wśród młodego pokolenia. Jej przejawem jest upamiętnianie ważnych faktów i postaci, popularność rekonstrukcji bitew, ale również dbałość o groby (często bezimiennie), przede wszystkim z czasów ostatniej wojny. Okazuje się, że historia opowiadana i tłumaczona poprzez wydarzenia nam bliskie staje się ciekawsza, uczy, skłania do refleksji i stawiania pytań.

Powiat radzyński, który był obszarem moich dociekań, wręcz usiany jest krzyżami, pomnikami czy tablicami pamiątkowymi, a przecież tyle ważnych miejsc wciąż oczekuje na oznakowanie. Gdyby nie ludzka troska i lokalne nazewnictwo, dziesiątki z nich już dawno popadłoby w niebyt. Niejeden krzyż stojący gdzieś na rozstajach, w polach czy pod lasem to pamiątka przeszłości, często obrosła późniejszymi zdarzeniami. Kiedy krzyż próchniał – w jego miejsce stawiano nowy, z czasem zapominając dlaczego i przez kogo był wzniesiony. Szczególnie tak jest na terenie powiatu radzyńskiego, zwłaszcza w przypadku pamiątek po powstaniach narodowych czy prześladowaniach unitów.

W moich poszukiwaniach punktem wyjścia były informacje udzielone przez poszczególne urzędy gmin. Ponieważ jednak pojęcie miejsc pamięci bywa zawężane do miejsc walki, martyrologii – siłą rzeczy niejeden obiekt wymknął się tej klasyfikacji. Ponadto po 1989 roku katalog miejsc pamięci uległ poważnej modyfikacji, co nie wszędzie odnotowano. Równie niepełne okazały się informacje udostępnione przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Warszawie oraz Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Lublinie. Pierwsza z instytucji odsyła zainteresowanych do „Przewodnika po upamiętnionych miejscach walk i męczeństwa. Lata wojny 1939–1945”

wydanego w 1988 roku, z kolei Instytut Pamięci Narodowej w sposób szczególny zajmował się zaledwie kilkoma miejscami pamięci z terenu powiatu radzyńskiego, m.in. podczas realizacji projektu „Śladami zbrodni”.

To wszystko sprawiło, że konieczne było przeprowadzenie własnej kwerendy w szkołach, parafiach, organizacjach kombatanckich, nadleśnictwie, rozesłanie wici wśród mieszkańców, stowarzyszeń, społeczników, a wreszcie – wizja lokalna. W wielu przypadkach z powodu braku źródeł pisanych opierałam się na relacji świadków czy osób znających historię od rodziców, dziadków lub najstarszych mieszkańców miejscowości (ze świadomością, iż pamięć ludzka jest zawodna). O niektórych miejscach i wydarzeniach, zwłaszcza tych z okresu II wojny światowej, jeszcze nie mówi się otwarcie, chociaż wciąż żyją świadkowie. Jest to temat na bliżej nieokreśloną przyszłość.

Praca nad książką uświadomiła mi kilka spraw – przede wszystkim, jak obszerny i rozległy to temat. Powstała publikacja jest obrazem naszej pogmatwanej historii, w której wiele kontrowersji, w której miejsca chwały i tragedii sąsiadują ze sobą i splatają się. Dodam, że niektóre z odnotowanych obiektów nigdy wcześniej nie były omawiane ani reprodukowane. Znanasą tylko lokalnie. Zdaję też sobie sprawę, że niejedna informacja wymaga sprostowania lub dalszych szczegółowych badań. I to już się dzieje... Zapraszam do zapoznania się z próbką tekstu:

(...) Naszą wycieczkę śladami miejsc pamięci rozpoczynamy w Radzynie przy ulicy Międzyrzeckiej, przy murowanym słupie zwanym sakralnym. Usytuowany jest on tuż przy północnym ogrodzeniu założenia pałacowo-parkowego, prawie na osi rezydencji Potockich. Za historykiem Stanisławem Jarmułem podajmy jego wymiary: wysoki na 350cm, w obwodzie ma 290cm. Wciąż nie jest jasne, kiedy i z jakiego powodu słup wzniesiono. Jedna z hipotez mówi, że był to słup wyznaczający granicę dóbr lub zaborów. Inna przypisuje mu znaczenie wotywno i wiąże z wielkimi epidemiami cholery, jakie nawiedziły Podlasie i północną Lubelszczyznę w roku 1838 i 1883. O tym, że radzyński słup istniał już w okresie powstania styczniowego świadczy odnaleziony w tutejszym archiwum odpis „Historii Radzyna i pałacu” sporządzony przed 1920 rokiem. Czytamy w nim m.in.: „za nastaniem drugiego powstania 1863 r. moskale pałac zajęli i pułkownik wojsk rosyjskich Brodib [Borozdin]

urządził u niego miejsce obronne, umacniając je wojskiem i armatami, w lochach pałacowych trzymano powstańców, a w sali balowej urządzono sąd wojenny i dwóch powstańców na śmierć skazano i za parkiem rozstrzelano, pochowani są pod kolumną za parkiem”.

W 2005 roku, po śmierci papieża Jana Pawła II, słup był miejscem spotkań rzeszy wiernych. Dodajmy, że podobne obiekty stoją w sąsiedztwie szkoły w Olszewnicy (gmina Kąkolewnica) oraz przy stacji PKP w Międzyrzeczu Podlaskim.

Nieopodal znajduje się zbiorowa (zdaniem niektórych – symboliczna) mogiła powstańców styczniowych, usytuowana przy ulicy noszącej ich imię (wcześniej ulica Międzyrzeczka).

W miejscu, gdzie władze carskie przeprowadzały egzekucje skazanych na śmierć powstańców 1863 roku, w rocznicę wybuchu tego zrywu niepodległościowego – z inicjatywy księdza dziekana Tadeusza Osińskiego i rodziny Prejznerów – usypany został kopiec mogilny. Kiedyś miejsce to leżało poza miastem, dziś znajduje się w obrębie zabudowań. Fakt, że spoczywające szczątki ekshumowano miałby sugerować wkop w czworokątnym nasypie. Z uwagi na zachowany materiał ikonograficzny [por. okładka książki] możliwa jest rekonstrukcja kopca w jego pierwotnej formie.

Pośrodku mogiły stoi drewniany krzyż. Rosną przy nim dwie lipy. W narożnikach nasypu widoczne są słupki-znicze. Mogiła jest ogrodzona. Inskrypcja, jaka widnieje na metalowej tablicy:

Ś. P.

POLEGŁYM ZA WOLNOŚĆ
BOHATEROM POWSTANIA 1863 R.
NA MIEJSCU STRACENIA
I TU POCHOWANYM

PYRKOSZ MARCIN LAT 37 DN. 23.I.1863 R.
MOTYCZYŃSKI KAROL LAT 38 DN. 23.I.1863 R.
DREWNOWSKI STEFAN LAT 27 DN. 6 I 1863 R.
KRASSOWSKI RAJMUND LAT 25 DN. 6 I 1863 R.

I INNI NIEZNANI
CZEŚĆ ICH PAMIĘCI.

Współczesna tablica jest niemal wiernym odwzorowaniem wcześniejszej, wiszącej tu w okresie międzywojennym.

W Królestwie Polskim powstanie wybuchło w nocy z 22 na 23 stycznia 1863 roku. Oddziałami atakującymi Radzyń dowodził Bronisław Deskur, zaś tutejszych mieszczan przygotowywał do walki

Marcin Pyrkosz (weterynarz powiatowy). Zginął on od ciosów rosyjskich bagnatów podczas akcji na koszarach wojskowych. Księgi Stanu Cywilnego (akty zgonu) odnotowują również Karola Motyczyńskiego, oficjalistę prywatnego zamieszkałego w Bezwoli, który zmarł – podobnie jak Pyrkosz – 23 stycznia o godzinie pierwszej w nocy. W tym samym czasie oddział Rajmunda Krassowskiego i Stefana Drewnowskiego miał zaatakować Parczew, jednak z powodu małej liczebności i braku szans na atak zapadła decyzja o dołączeniu do radzyńskich powstańców. Niestety nocą wpadli oni na carskich żandarmów i dostali się do niewoli. Powstaniec Józef Seweryn Liniewski relacjonuje, że Rosjanie odnaleźli na furmance „broń i inne przybory wojenne”. Zatrzymanych osadzono w piwnicach radzyńskiego pałacu i poddano śledztwu. Krassowskiego już „wkrótce [6 lutego] przy trakcie międzyrzeckim rozstrzelano wraz z Drewnowskim”.

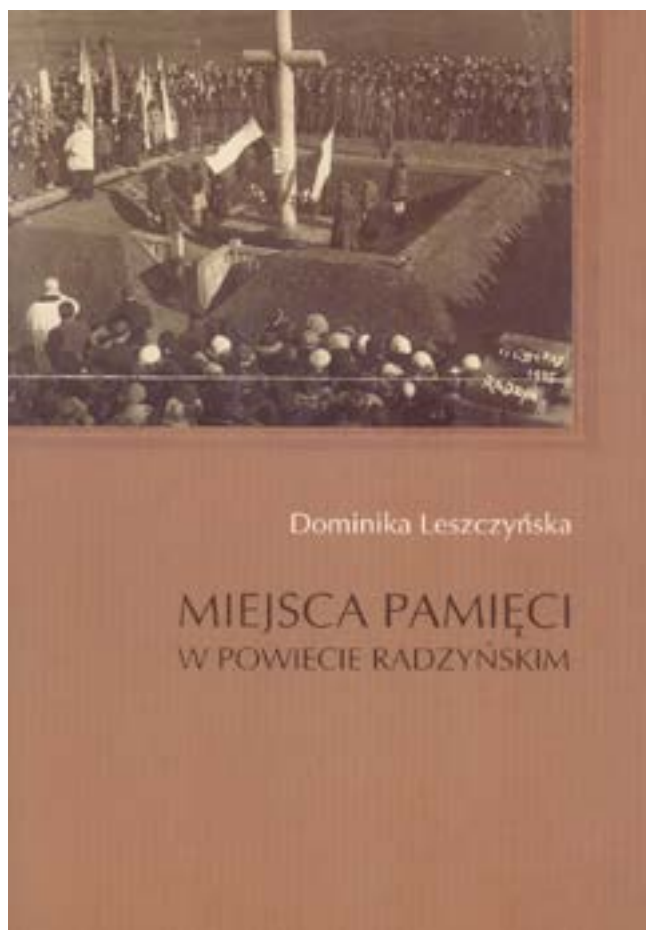
W następnych miesiącach nasiliły się aresztowania, a w Radzynie i innych miejscowościach władze carskie organizowały systematyczne egzekucje. 6 listopada 1863 roku publicznie powieszony został szlachcic Paweł Zabielski, 9 grudnia rozstrzelano Stefana Łoskutowa i Stefana Bijana, którzy służyli w wojsku rosyjskim i udzielali pomocy powstańcom. Ten sam los spotkał 22 lutego 1864 roku Ludwika Styczyńskiego (emerytowany podoficer 1831 roku), 7 marca – Stanisława Niewęglowskiego i Romualda Turkowskiego (chłopi), 2 maja – Balcera Tyślicza, Pawła Trofimowa, Franciszka Patka (dowódca kompanii, a następnie batalionu powstańców), Grzegorza Iwanowa i Leopolda Dąbrowskiego (dowódca kompanii, pochodzący z Galicji), a 31 października stracony został Tomasz Supryk i Józef Szóstkowski. W świetle akt Zarządu Naczelnika Siedleckiego Oddziału Wojennego na terenie powiatu radzyńskiego za uczestnictwo w powstaniu styczniowym represjonowano 169 osób, w tym jednego kapłana.

W setną rocznicę wybuchu powstania Szkoła Podstawowa nr 1 w Radzynie Podlaskim przyjęła, staraniem ówczesnego dyrektora Stanisława Jarmuła, imię Bohaterów Powstania Styczniowego. Mogiła pozostaje pod opieką tej placówki. Wraz z zadrzewieniem wpisana jest do rejestru zabytków województwa lubelskiego.

„Miejsca pamięci w powiecie radzyńskim” to obszernie wydawnictwo bogato ilustrowane fotografiami współczesnymi i archiwalnymi.

Charakteru przewodnika nadają mu mapy z zaznaczonymi obiektami zewidencjonowanymi przez autorkę. Książka została dostrzeżona nie tylko lokalnie, spotykając się z żywym oddźwiękiem społecznym – jej egzemplarze trafiły również do bibliotek, instytucji oraz osób prywatnych w kraju i za granicą (m.in. Ukraina, Litwa, Rosja, Wielka Brytania, Stany Zjednoczone). Ponadto w uznaniu zasług w popularyzacji lokalnego dziedzictwa Dominika Leszczyńska została uhonorowana tytułem „Bakałarza Radzyńskiego 2011”, przyznany przez Radzyńskie Stowarzyszenie Inicjatyw Lokalnych. Wydawcą książki jest powiat radzyński.

Dominika Leszczyńska



Okładka książki "Miejsca Pamięci w powiecie Radzyńskim" autorstwa Dominiki Leszczyńskiej

Nadbużańska poezja Piotra Głogowskiego

Piotr Głogowski, Wiersze znad Bugu, Włodawa 2011.

PIOTR GŁOGOWSKI ur. w 1985 roku we Włodawie. Pasjonuje się poezją i malarstwem. Od roku 2009 członek Stowarzyszenia Twórców Kultury Nadbużańskiej im. J. Kalinowskiego.

„W swojej poezji zwraca szczególną uwagę na piękno otaczającego nas świata, ulotność chwili, zmienność krajobrazu i pór roku. Chciałbym w swoich wierszach uwiecznić ginące piękno krajobrazu oraz przyrody polskiej, zwłaszcza nadbużańskiej”.

Bug

Korytarzem srebrnych, wiatrem kołysanych wierzb,
Pod bielonymi warowniami brzegówek,
Żółtymi płycznami samotnych mierzei,
Spiesząc leniwie z odległych krain na nieznane lądy,
Przelewał na wpół zatopionych konarach
Melodię bez refrenu.

Miarowy i spokojny rozścielał
Pod łany błękitnych mikołajków
Słońcem pachnące równiny białego piachu.

Na zwierciadle brunatnych głębin
Pozwalał haftować igiełkami dzióbeków śmigłych biegusów
Szorstkie labirynty dzikiego chmielu,
Czerwone jagódki psianki słodkogórz
I ciemnozielony chłód łągu.

Ciskał w misę perłowych kropli,
Niczym grot wystrzelony z wysoka,
Turkus zimorodka.
I nieco smutny
Malował sierpniowe, rozdarte okrzykiem czapli
Niebo.

Piotr Głogowski, "Wiersze znad Bugu", Włodawa 2011

Olcha

Zastygła w blasku skrzących zasp, gdzieś między ugorami,
O lapidarność brył i form wyklóca się z krukami.

Patyną polichromii mchów malachitowej miedzi
Surowych brązów ciężki ryt rozmyje i rozrzedzi.

Na cokół turzycowych kęp w apoteozach cienia
Nieociosanych popiersi rytm doznaje uniesienia.

W korzeniach dłoni glinę grud ogrzewa i ugniata;
Wprawione palce arras żył laurowym wieńcem splata.

W lodowy marmur białych błot w oszczędnej słów snyderce
Spękanym gestem czarnych pni szkarłatne skrzyła serce.

Nie bacząc na monolit zim, nadzieję ą zawsze młodą,
W szyszeczek detal duszę tchnie, wciąż rzeźbiąc się na
nowo.

Bezlistność bezimiennych mas w plastycznym ornamencie
Zamienia w posąg wspomnień swych spokojnym szpachli
cięciem.

To bawi się gotykami wież na żebrach i sklepieniach,
To w rokokowych łuskach muz roztopia się marzeniach.

Szaleństwem nowoczesnych form wpisanych na kwadraty
Fakturą kory dłutem lat wyraża przyszłe światy.

I tkwi okuta styczniem purg w dolinie sal miedzianych,
Klarując mglisty zarys póź - słów niewypowiedzianych.

Piotr Głogowski, "Wiersze znad Bugu", Włodawa 2011

Opracowała: *Marta Ładak*

Muzeum w Romanowie

fotoreportaż Zbigniewa Woszczyńskiego



Majówka w kajaku



fot. J. Wysocka, S. Michalska, A. Cichosz.

WIOSNA NA POLESIU



fot. Leszek Niejedli

Nadbużańskie bobry

ISSN: 2084-8129